Nr. 20. Kraków, grudzień 1909 r. Rok II.

STRAŻ POLSKA

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1909 wynosi **3 kor.** — dla członków „Straży Polskiej“ **2 kor.** (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy **30 hal.**

Adres Redakcyi: **Kraków, Rynek główny L. 39.** | Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Kazimierz Bartoszewicz.** | Adres Administracyi: **Kraków, ul. Floryańska L. I.**

Z numerem przyszłym rozpoczynamy trzeci rok wydawnictwa „Straży Polskiej“.
Upraszamy o odnowienie przedpłaty. Warunki w nagłówku.

Jak dźwięk harfy...

Niechaj przepiękne Polski imię gra nam w burzliwym cha sie i zgryzotach poziomego życia. Niechaj nam dźwięczy, jak śliczna muzyka, nad powszednim szmerem i hałasem, co ducha na głosy wysokie ogłusza. Niech się rozlewa nad nami, jak nieustanny śpiew harfy potężnej.

Spiżowe bo tony wybuchają z naszej [illegible]jczyzny imienia, jak brzmienie kruszcowej [illegible]rony pod szczerbcem Bolesława Jakoby dalekonośny brzęk skrzydeł pancernych.. Jakoby ogromny [illegible]horał Zygmuntowskich dzwonow..

Melodyą rzewną gra Polski słowo cudowne. Niby nabożne psalmy Swiętych polskic[illegible]... [illegible]y liryka ludu i poetów.. Niby płacz dzieci wrz[illegible]skich od rózg.

[illegible] z tego [illegible] kajdany, jeremiadzki [illegible]! Ciche i [illegible] słychać plus[illegible] krw[illegible].

Ale na podziw mocny głos nadziei pokrywa dźwiękiem swoim morze skargi i po niebieskich [illegible]wa prze[illegible]w rz[illegible].

O słodkie imię Polski! Jako harfiany akord, jesteś Polsko! Serca podnosisz szlachetną harmonią, wspaniałe słowo!

Słuchajmy, słuchajmy, słuchajmy tego słowa! Poddajmy się jego muzyce głębokiej. W huk spraw codziennych wpuśćmy pieśń tego imienia.

Gwar nieporządny przeplotą nam tony złote W nudnym i ciężkim kieracie zwykłej roboty ozwie się szczęście wzniosłości. Stuk pusty struny dzwoniące umilą.

O, Polsko! Badz nam tym tonem przewodnim, który ciszę ożywia i zamęt do siebie przystraja. Bądź tonem wybranym, władnym, podstawowym, co inne przyciąga, sprowadza i w świetnych zespołach na sobie osnuwa. Graj nam, o Polsko, piękniej nad czar, głośniej nad żywioł, i łącz — myśl łącz

Tyś rozwiązanie szumiących w nas wirów, Tyś zasadniczy głosów życia ton.

Słyszycie te muzykę: Polska!..
Polska!!!

Dr. Kazimierz Lubecki.

„Z opłatkiem“.

(Tani patryotyzm).

— Piszesz?

— Tak! Boże Narodzenie nadchodzi, zbliża się wigilijny wieczór, do stołu białego, śnieżystym obrusem nakrytego, zasiędą we wszystkich domach — we wszystkich, gdzie tylko żyje polskie uczucie, narodowa tradycya. W ten jeden wieczór połączy się wyjątkowo a szczerze cała Polonia.. W ten jeden tylko wieczór...

— A tak, niestety, to prawda! Jedyny to dzień, jedyna to chwila, w której żywiej bija nam serca, w której jakoweś dziwne rozczulenie i rozrzewnienie dusze nasze obsiada. Życzenia wtedy płyną z ust wszelkich szczere, gorące, jakaś słodka tęsknota obejmuje dusze za lepszą przyszłością, przynajmniej za nadzieją jaśniejszej przyszłości i doli.. Z otwartością, nie widzianą zazwyczaj, wspomina się wtedy o własnych błędach i przewinieniach, z głęboką wiarą w mówione słowa obiecuje się i zapowiada nowe życie, energiczne życie... Następuje coś nakształt skruszonego rachunku sumienia, przy którym często łzy błyszczą w oku, łzy o mocnem postanowieniu poprawy świadczące... Ludziska przebaczają sobie urazy, na chwilę nie pamiętają wzajemnych przykrości, przyrzekają miłość i pobratymstwo powszechne.

— Otóż to, otóż to!! O tem właśnie myślę i o tem też pragnąłbym słów parę napisać.. Tak! Chciałbym skorzystać z tej chwili, gdy do Polonii serca i uszu łatwy wstęp i dostęp, chciałbym wyzyskać ten błysk najszlachetniejszej strony życia ludzkiego, pochwycić go, rozżarzyć, rozpalić!! Chciałbym, by i ze mną przełamano się listkiem opłatka i oświadczono mi miłość, przyrzeczono poparcie i zgodę we wspólnej a bolesnej walce, krwawej i uciążliwej pracy.

— Co masz na [illegible]?

— Stare dzieje, dawne sprawy, powszednie [illegible]. Ot widzisz. Znów [illegible] jeden [illegible] znów usunął się przed nami jeden, do przebycia trudny i mozolny wał.. Znikł w morzu wieczności, [illegible]stał tylko na kartach pamięci, tam jedynie głębokie swe ślady znacząc. Otóż chcę tę ostatnią kartę [illegible] wigilijny wieczór odczytać, chcę przypomnieć ludziom, że wał ten kamieni i chwastu pe[illegible] przebyli marnie i ślimaczo. Chcę im wykazać, że jeśli przeszli na drugą jego stronę, to zasługa nie ich, lecz nielicznych jednostek, które padając ze znużenia, dniami i nocami zsuwa[illegible] w głębię morską kamienie i chwasty, po to, by reszta obojętna i niedołężna spokojnie i bezpiecznie dalej [illegible]..

Tak jest! Garść pracowała tylko, a reszta spała czekając, rychło jej powiedzą: „Oto macie otwarte wrota do dalszej podróży..“ Te wrota otwarto, a gawiedź odetchnęła swobodnie, ciesząc się, że przecież „przy łasce Boskiej i dobrej woli ludzi“ żyje nadal. Wnet jednak tłum ten szary zapomni o tem, że przeżył znowu rok ciężki i upokorzenia pełny! Zapomni również, że na drodze jego życia takich zapór jeszcze setki i tysiące! Zapomni również, że trzeba te wszystkie tysiące przeszkód zburzyć i zniszczyć, aby dojść do upragnionego celu. O tem zapomni ogół zaraz, skoro tylko wieczór Sylwestrowy minie. Pamiętać tylko będzie o tem jednem, że jak ubiegłych lat, tak i następnych znajdą się zapewne krwawiące dru[illegible], które za resztę pracować będą, wyręczając lenistwo i apatyę drugich.. O, o tem nie zapomni prawie nikt, i każdy opuści [illegible] na to, swobodnie i z lubością do nowej drzemki się kładąc..

— Czarne twe myśli...

— Tak, czarne, tem czarniejsze, że odbijać będą od białych obrusów i jarzących się alabastrowych świec.. Lecz pragnę skorzystać z tej chwili wieczoru wigilijnego! Pragnę wyzyskać bijące wtedy uczucie i szczerość słów i przyrzeczeń, pragnę wstrząsnąć duszami i odebrać od nich przysięgę, że następne zwały kamieni i chwastów wraz z drugimi wypleniać i usuwać będą! Ze wszyscy społem do tej pracy staną, że w czyn się zamienią! A pracować mogą w tem istotnie wszyscy, bo nawet dzieci potrafią wywozić taczkami rozkopany piach i zeschłe badyle...

— Czy przekonasz naprawdę?

— Nie wiem, ale chcę, muszę. Użyję setek argumentów, dowodów, zaklęć... A najsilniejszem z mych słów, będzie przypomnienie, że wróg nasz przemożny, że życie nasze krótkie i wątłe, jeśli rozdrobnione i drzemiące.. Udowodnię im jednak, że, jeśli zabierzemy się do pracy narodowej wszyscy, to wtedy milionową potęgę stanowić będziemy, potęgę, której ulęknie się każdy, choćby najpotężniejszy, z którą wszyscy liczyć się będą musieli... A powiem im jeszcze, że czas najwyższy nie oglądać się i spuszczać na pracę jednostek, bo tych jednostek wytrwałych, zapracowujących się coraz mniej, gdyż z sił i z niechęci padają i giną... Zaklnę ich na przeszłość, zaklnę na przyszłość, pokazując ich przemienionych w trędowate trupy... Bo taki los gotuje się nam, jeśli nie staniemy do pracy wszyscy, jeśli wszyscy o narodowości i narodzie pamiętać nie będziemy...

— Mówisz: narodowość, naród!!? Wszak każdy ci na to powie, że jest Polakiem, że myśli i mówi o tej sprawie dużo i długo...

— O tak, myśli i mówi!!.. to prawda! Wystarczy byle jaka przyczyna, drobnostka mała, a już milion patryotów się odzywa! Myślą, mówią i krzyczą!!.. Patrz, co za radość ze „zdobyczy“ narodowej z „powiększenia Polski“ (i tak się wyrażano), że do Krakowa kilka gmin podmiejskich przyłączono — jakie potoki wspaniałych frazesów patryotycznych z tego powodu wylano! Słysz, co za larum na wiadomość o tem, że w barbakanie krakowskim nie taczki i miotły, lecz obraz (mniejsza mi o to, jaki) wisieć będzie. Czytaj, co za głośne wrzaski i kłótnie o drobiazg, bo o sprawę miejsca, na którem pomnik ten lub ów ma stanąć! Albo co za podnio[illegible] opisy zwycięstw „naszego“ Cyganiewicza w Ameryce! Patrz, słuchaj i czytaj!! Zda się, że niebo się pali od błyskawic patryotyzmu polskiego, że pioruny wstrząsają podwalinami Europy, pioruny patryotyzmu polskiego! [illegible] się, że my tę Polskę, jej narodową sprawę mamy tak całą w całem sercu, że wystarczy to serce paznokciem nacisnąć, aby się krwią narodową zalało!! Patrz tylko, słuchaj i czytaj!! A jednak ja [illegible] wszystko u wielu niccna komedya, krzyk i wrzask — dla krzyku, wrzasku i [illegible]! T[illegible] dla oka! Bo dla [illegible] i [illegible] z teg[illegible] nic!! A [illegible] ty przyjacielu, jak się to w[illegible]ystko razem [illegible]a? Nie [illegible]iesz, wię[illegible] słuchaj. To jest [illegible] polski, narod[illegible] — tani p[illegible] [illegible]! O tani on bardzo! Nie kosztuje najmniej[illegible] w[illegible]iłk[illegible], nie [illegible] ani [illegible] od d[illegible] jednostki, nie żada b[illegible] [illegible]iesi nia [illegible] ziemi na k[illegible]piec [illegible] chwały... I przeciwko temu właśnie [illegible]wi b[illegible] si[illegible] krew moj[illegible], bo jest on [illegible] innem jak tylko pustem a efektownem gardłowaniem... Ogół lubi wiele o patryotyzmie mówić, za patryotę uchodzić... Takie sprawy, takie b[illegible]tel[illegible], to właśn[illegible]e żniwo p[illegible] temu! Słuchają[illegible] milk[illegible]ą zachw[illegible]i i [illegible] w [illegible]bokościach [illegible]h dusz: „N[illegible] zginie Ojczyzna nasza, nie rozbije się jej nawa o rafy podwodne, kiedy takich obrońców, marynarzy i sterników posiada“... Biedni słuchacze, nieszczęśliwy naród!!

Spróbuj jednak przyjacielu pójść do tych tanich patryotów i poprosić ich bodaj o grosz dla rzeczywistej dźwigni ojczyzny naszej!! Obmierzą cię od stóp do głów i tyłem się do ciebie obrócą. Idź i powiedz im: „Panowie dobrodzieje, magnatowie z ducha i patryotyzmu! Potrzeba kilku tysięcy koron, aby wzmocnić pewien posterunek narodowy, aby poprzeć rzecz dobrą, uczciwą, mającą na celu rozbudzenie ducha narodowego, aby zapewnić byt, i rozszerzyć działalność instytucyi walczącej w obronie spraw narodowych! Złóżcie się wspólnie i dajcie je“... Idź i powiedz tak! Jeśli ciebie nie ogłoszą za natręta i umysłowo chorego, to przynajmniej sponsowieją z gniewu i żółci. Ten tylko rezultat uzyskasz, że na chwilę przestaną być... patryotami!!!

— Więc taką chcesz podjąć walkę w wigilijny wieczór?

— Taką, jak widzisz. Chcę zdemaskować i w całej nagości napiętnować ten tani patryotyzm, a wezwać do narodowej pracy czynnej i istotnej... Uczynię to! Napiszę płomienne słowa, ogniste artykuły, a może... a może przecież ogół przekonam

i na nowe popchnę tory... Tak, napiszę o tem artykuł, umieszczę w dziennikach, o ile... o ile nasze narodowe pisma umieścić go zechcą...

— Siadaj i pisz!!..

A. E. Balicki.

Jak powstało Muzeum Narodowe.

Z powodu jubileuszu Muzeum Narodowego wszystkie nasze dzienniki i pisma peryodyczne umieściły o niem obszerne i prawie jednobrzmiące artykuły. Jedynem wspólnem ich źródłem była broszura p. Szukiewicza.

Ponieważ jednak p. Szukiewicz nie patrzał na początki Muzeum i głównie się zajmował jego rozwojem późniejszym i stanem dzisiejszym, przeto o tem jak ono powstało, tylko bardzo pobieżne podano wiadomości. A przecież początek każdej rzeczy, czy sprawy, akcyi czy instytucyi, jest zarówno najtrudniejszy jak i najwięcej zajmujący. Łatwiej jest coś rozwijać, aniżeli stworzyć.

Żałować należy, iż choć części znacznej kwoty na obchód jubileuszu wydanej, nie przeznaczono na skreślenie i wydrukowanie historyi Muzeum. Nie byłoby może wspaniałego rautu, ale byłaby książka, świadcząca o dobrym czynie i podająca imiona jego twórców wdzięcznej pamięci potomnych. Taka książka byłaby najpiękniejszą i najpożyteczniejszą pamiątką jubileuszu. Znalazłby się w niej wyczerpujący obraz narodzin Muzeum, których krótkie przypomnienie jest zadaniem niniejszego artykułu.

Drugiej takiej olbrzymiej i wspaniałej uroczystości narodowej, jaką był jubileusz Kraszewskiego, nie pamięta nikt z najstarszych, a może nie doczeka się nikt z najmłodszych. Hołd składany najwybitniejszemu w danej chwili przedstawicielowi literatury, zamienił się w imponującą manifestacyę narodową, stał się potężnem świadectwem, że przybity klęską r. 1863 duch narodowy, odżył na nowo i staje gotów do walki w innej formie, ale za te same ideały. Świetnie obmyślanemu i wypracowanemu programowi uroczystości, dodał szczególnego blasku i znaczenia ogromny zjazd ludzi wybitnych z najdalszych zakątków Rzeczypospolitej i z zagranicy. Można powiedzieć, że w dniach jubileuszowych zgromadził się w Krakowie kwiat społeczeństwa polskiego. Obok głośnych przedstawicieli nauki, sztuki i literatury, widziałeś zasłużonych pracowników na wszystkich niwach pracy społecznej i narodowej, obok przedstawicieli wielkich rodów, ludzi zajmujących wysokie stanowiska. A choć ci ostatni i przedostatni przeważnie, a niektórzy nawet wyłącznie, przybyli na uroczystość otwarcia Sukiennic, która, jak w pewnych sferach sądzono, wyrośnie ponad hołd pisarzowi, przez sfery te nielubianemu, to przecież i oni dali się unieść prawie wszyscy potężnej fali ogólnego entuzyazmu...

Entuzyazmowi temu zawdzięczamy pośrednio i założenie Muzeum Narodowego.

Było to popołudniu 5. października w drugi dzień jubileuszu Kraszewskiego. W dolnych salach restauracyjnych nieistniejącego dziś hotelu Victoria (przy ul. św. Anny) zebrała się, za inicyatywą Wacława Szymanowskiego, na wspólną ucztę liczna drużyna dziennikarska. Do udziału przypuszczono artystów i kilku literatów, zaproszono zaś jubilata, prezesa komitetu jubileuszowego prezydenta Zyblikiewicza, Augusta Cieszkowskiego i delegacyę czeską. Inicyatorom szło o to, aby położyć nacisk na szeroką działalność publicystyczną i redaktorską Kraszewskiego; „cechowi towarzysze" chcieli osobno posiadać go w swem gronie. Drugą ich myślą było, aby pod wrażeniem doniosłej manifestacyi narodowej, jeżeli nie pogodzić, to zbliżyć do siebie przynajmniej publicystów i literatów różnych obozów. A był jeszcze wzgląd trzeci, bodaj czy nie najważniejszy. Od udziału w jubileuszu usunęli się w pierwszym dniu konserwatyści krakowscy, tak zwani „stańczycy", niesympatyzujący z przekonaniami politycznymi Kraszewskiego, mający z nim jeszcze osobiste porachunki za... „Rachunki". Byli przy otwarciu Sukiennic, należeli właśnie do tych, co chcieli tą uroczystością zepchnąć na plan drugi jubileusz Kraszewskiego, (wszak dla Sukiennic jubileusz odroczono), ale kiedy im się to nie udało, kiedy widzieli, że nie ku Sukiennicom, lecz ku Kraszewskiemu zwracają się wszystkie oczy i serca, cofnęli się manifestacyjnie, a nawet niektórzy wyjechali z Krakowa. Otóż szło o to, aby ten dysonans zatrzeć, aby sprowadzić choć kilku wybitniejszych przedstawicieli „sukiennicowego" obozu i zawrzeć pomiędzy nimi a Kraszewskim jeżeli nie pakt, to chociaż zawieszenie broni.

Rzecz udała się w połowie. Wprawdzie nieprzejednani nie chcieli słyszeć o ustępstwach, ale znaleźli się tacy, którzy dla idei zdołali poświęcić swe przekonania. Wpłynął na nich podobno i Zyblikiewicz, który zrozumiał ważność chwili, „połapał się w sytuacyi", i choć przedtem na posiedzeniu komitetu zaręczał, że „szopek tu robić nie będziemy", widząc przecież powszechny zapał, sam stanął na jego czele. Między zjednanymi były i trzy widome głowy stronnictwa: Stanisław Koźmian, Józef Szujski i Stanisław Tarnowski. Bankiet odbył się wspaniale. Wśród entuzyastycznych toastów zabrał głos Tarnowski pijąc na cześć Czechów, i Szujski, aby wygłosić słynną mowę o „straży pożarnej"...

Przy końcu bankietu obecny na uczcie Henryk Siemiradzki, oświadczył, że, pragnąc upamiętnić podniosłą chwilę, słynny swój obraz „Świeczniki chrześcijaństwa" (Pochodnie Nerona), składa w ofierze, aby „na pożytek kraju" zdobił jedną ze ścian Sukiennic.

Oświadczenie to wywołało olbrzymi entuzyazm. „Świeczniki chrześcijaństwa" były w danej chwili najgłośniejszym obrazem w Europie — tryumfalny ich pochód napawał dumą serca polskie. Twórca „Świeczników" sam stał.. na świeczniku. Widziano w nim szczęśliwego rywala Matejki.. nieobecnego na jubileuszu. Dar był królewski, przedstawiał bowiem wartość kilkudziesięciu tysięcy.. Pito więc zdrowie „prawdziwego magnata, który owoc pracy swej najobfitszy i najznakomitszy rzucił tak wspaniale dziś społeczeństwu". Młodzi porwali go na ręce i nosili po sali. Odprowadzono go wreszcie tłumnie do mieszkania w hotelu krakowskim, a gdy się zjawił potem na balu, marszałkowa Ludwikowa Wodzicka wręczyła mu wieniec laurowy, wszystkie zaś panie złożyły przed nim swe bukiety.

Nazajutrz plakaty obwieściły mieszkańcom miasta ofiarność „mistrza Henryka". Wieczorem przed hotel krakowski ruszył obrzymi korowód z pochodniami; na czele jego kroczyli ludzie wybitnych nazwisk w literaturze, sztuce, nauce i w życiu publicznem. Pierwszy przemówił do Siemiradzkiego poważny wiekiem i zasługami hr. Henryk Wodzicki — po nim mówili inni. Siemiradzki dziękował rozczulony, ale w podziękowaniu swojem zaznaczył, że w tej chwili wszystkie myśli powinny być skierowane jedynie ku jubilatowi. Wziął pochodnię do ręki i na czele olbrzymiego tłumu ruszył przed hotel Drezdeński. Tu dwaj bohaterzy dnia, Kraszewski i Siemiradzki, padli sobie w objęcia.

Siemiradzki przez swój dar stał się bezwiednie rzeczywistym założycielem Muzeum Narodowego. Sam nie myślał o tem, pomysł stworzenia Muzeum rzucił na rok przedtem p. Teodor Ziemięcki [1]. Siemiradzki pragnął jedynie (jak mówił w kilka lat potem) zadokumentować przy święcie literatury polskiej, że sztuka polska wspólne ma z nią ideały. Chciał też zamanifestować wybitne swoje uczucia narodowe wobec tendencyjnych usiłowań zaliczenia go do narodowości rosyjskiej. Narażał się na straty materyalne, bo obrazy jego przeważnie zakupywano w Rosyi; „spaliłem mosty za sobą" były jego słowa.

O założeniu Muzeum, powtarzam, Siemiradzki nie myślał. Ofiarował tylko swój obraz społeczeństwu. Zawiązek Muzeum Narodowego powstał dopiero na trzeci dzień po jego darze.

Dar ten zaimponował artystom krakowskim i zamiejscowym przybyłym na uroczystości — byli dumni ze swego kolegi. Pragnęli przeto wyrazić mu swe uznanie i poprosili go, aby w ich gronie spędził kilka chwil przy kieliszku wina w handlu Wentzla „pod Matką Boską". W zebraniu uczestniczyło i kilku przyjaciół artystów.

Na zebraniu tem rozwiązały się usta, roztajały serca. Ktoś rzucił myśl, aby zebrani artyści poszli za przykładem Siemiradzkiego i każdy ofiarował krajowi jedno z dzieł swoich. Projekt przyjęto jednogłośnie, z zapałem. Natychmiast posypały się dary. Pruszkowski dał swoje „Rusałki", Abramowicz „Wierzynka", Ajdukiewicz „portret Modrzejewskiej", K. Miller „Odwiedziny Zamojskiego u Kochanowskiego", Świerzyński „Widok nawy katedry na Wawelu;" Barącz obiecał dać medaljon Siemiradzkiego, Godecki jego biust marmurowy, J. Kossak „Zygmunta Augusta z Barbarą na polowaniu", syn jego Wojciech „Bitwę pod Samosierrą", Andriolli miał narysować scenę z jubileuszu. Architekt Lindquist ofiarował dwa obrazy Stachowicza, fabrykant ram Krywult obraz Gottlieba. Ci, co nie mieli gotowych większych rzeźb, lub obrazów, zobowiązali się dostarczyć ich w ciągu kilku miesięcy. Na poczekaniu spisano akt fundacyjny galeryi sztuki polskiej. Podpisali go prócz wymienionych: Malczewski, Pochwalski, Benedyktowicz, Lipiński, Piotrowski, Piwnicki, Wyczółkowski, Koniuszko, Mroczkowski [1]. Położyło też swe podpisy kilku „świadków", a należał do nich ś. p. Konrad Wentzl, ostatni może piękny typ patrycyusza krakowskiego, który w podziękowaniu za zaszczyt, jaki spotkał jego handel, że w nim stanęła tak ważna fundacya, uraczył zebranych prawdziwem „winem kościuszkowskiem".

Akt fundacyi brzmiał: „Zebrani w dniu dzisiejszym na jubileuszu Kraszewskiego w Krakowie artyści polscy, w uznaniu ofiary kolegi Henryka Siemiradzkiego, postanowili pracami swojemi przyczynić się do wzbogacenia Muzeum Narodowego w Krakowie, dając tem przykład ofiarności dla osób prywatnych i nie tamując ich hojności. Nadto uchwalono, ażeby co lat kilka odbywała się wystawa dzieł artystów polskich sztuk plastycznych, która tem ogólnem ich zgromadzeniem przyczyniać się będzie do rozwoju sztuki krajowej".

Ściśle biorąc i to jeszcze nie był zawiązek Muzeum Narodowego, choć tej nazwy na wniosek p. Ziemięckiego użyto w akcie fundacyjnym, — był to dopiero zawiązek galeryi współczesnej sztuki polskiej. Ofiarodawcy wyraźnie oświadczali, że im chodzi właściwie o powstanie takiej galeryi, ofiarnością swą dają do niej tylko inicyatywę. Pragnęli, aby kraj, właściciel galeryi, przeznaczył pewne fundusze na jej utrzymanie i powiększanie. Osobny komitet, złożony z artystów i znawców sztuki, miał corocznie oceniać najświeższy plon artystyczny i wskazywać, które dzieła zasługują na zakupno i pomieszczenie w galeryi. Projekt ten miał na celu nietylko założenie poważnej instytucyi, ale i poparcie rozwoju sztuki polskiej. Wobec braku mecenasów, w społeczeństwie niezasobnem, wszyscy nasi malarze i rzeźbiarze, z małym wyjątkiem, skazani byli na zdobywanie sobie kawałka chleba przez tworzenie małych, łatwych do zbycia rzeźb i obrazków. Niejeden zdolny był do wykonania dzieła poważnego treścią, rozmiarami i wykończeniem, ale nie brał się do niego, bo wykonanie takiego dzieła wymagało sporo czasu, a któż mógł zaręczyć, że znajdzie się na nie nabywca? Byliśmy też wówczas świadkami, że młodzi malarze, którzy na wystawach „majsterszuli" występowali z większemi, wiele zapowiadającemi obrazami, po wyjściu ze szkoły rozpraszali swój talent na rzeczy drobne, stawali się dostawcami „kunstdhändlerów". Otóż założyciele galeryi sądzili, że samo jej istnienie, w związku z projektowanymi przez nich wystawami, wpłynie na rozwój naszej sztuki, bo zapewniając niejako artystom kupca na „rzeczy większe", doda im bodźca do pracy. Już sama nadzieja zaszczytu „dostania się do galeryi", byłaby dla nich niemałą zachętą.

Myśl założycieli została spaczoną. Wyrażenie to, zapewne niewłaściwe wobec tego, czem jest dziś Muzeum, odpowiada jednak najzupełniej faktom. Możemy się cieszyć, że tak a nie inaczej się stało, że dzięki pomyślnym okolicznościom, mamy dziś znacznie więcej, niż galeryę sztuki współczesnej — ale to nie przeszkadza zaznaczyć, że intencyom ofiarodawców założycieli zadość się nie stało.

Rada miejska krakowska na posiedzeniu dnia 7. października uchwaliła podziękować Siemiradzkiemu, przeznaczyła połowę piętra Sukiennic „na założenie galeryi obrazów, a ewentualnie także na założenie Muzeum Narodowego", zobowiązała się utrzymywać te instytucye „kosztem miasta i całego narodu", wybrała wreszcie komisyę „celem obmyślenia środków dla uwiecznienia wspaniałego czynu obywatelskiego".

[1] Wspomina się dziś, że Dietl już na ośm lat przedtem myślał o Muzeum Narodowem, ponieważ w projekcie o uporządkowaniu miasta wspominał, że wypadałoby urządzić w odnowionych Sukiennicach galeryę królów i uczonych, zawiesić obrazy historyczne, ustawić „kształty dawnych wojsk" pomieścić zbiory etnograficzne. Zaprzeczyć temu trudno, choć Dietl, jak widzimy, rzecz sobie całkiem inaczej przedstawiał. Ale w chwili założenia dzisiejszego Muzeum, nikt o projekcie Dietla nie pamiętał — obecnie dopiero go odgrzebano. Sprawa ta podobna do sporu o to kto powziął myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi. Wielu było projektodawców, zbierano nawet w r. 1867 fundusze, z któremi niewiadomo co się stało, a przecież należy przyznać, że właściwym inicyatorem była młodzież akademicka, która w r. 1873 zebrała pierwszy grosz na istniejący dziś pomnik.

[1] Opuszczam kilka nazwisk, trudno bowiem pamiętać po trzydziestu latach wszystkich obecnych. Dodam jeszcze, że wkrótce Pochwalski złożył w darze swe „Dzieci kąpiące się" a Witold Piwnicki „Cecorę".

Do owego „uwiecznienia czynu“ nie przyszło, Rada lwowska goręcej podziękowała Siemiradzkiemu niż krakowska, bo zaprosiła go do siebie przez osobną delegacyę i urządziła mu wspaniałe przyjęcie. W uchwale Rady krakowskiej charakterystycznem jest przemilczenie o darze artystów. Zapewne, że dar Siemiradzkiego był bez porównania większy, wspanialszy, ale dopiero ofiarność artystów stała się zawiązkiem instytucyi, owej „galeryi a ewentualnie także Muzeum“. W tym pominięciu widziano niechęć Zyblikiewicza, który artystów krakowskich zaliczał do swych... przeciwników politycznych. Kto pamięta ówczesne stosunki, ten łatwo pewne motywy tej niechęci znajdzie nawet w sprawach osobistych. Zyblikiewicz obok wielkich zalet, miał i wielkie wady, a do nich należała posunięta do mściwości pamięć doznanych uraz. Zaznaczyć też należy, że kiedy pisma zamiejscowe podały odrazu wiadomość o darze artystów, jedyny dziennik miejscowy o fakcie tym wspomniał dopiero po dniach kilku i to bardzo krótko i obojętnie.

Wkrótce komitet złożony z grona radców miejskich i znawców sztuki rozpoczął obrady nad organizacyą przyszłej instytucyi. Do komitetu tego zaproszono tylko dwu artystów J. Kossaka i Hipolita Lipińskiego. To samo wywołało już pewien szmer niezadowolenia wśród krakowskiej kolonii artystycznej, która chciała posiadać w komitecie przynajmniej równość głosu. Uważając się za założyciela, pragnęła bronić swej myśli i wyznaczyć jej kształty. Zaproszenie do komitetu tylko dwu artystów uważała za wynik niechęci Zyblikiewicza, zwłaszcza, że Lipiński nie cieszył się wśród niej sympatyą, a choć sympatyzowała z Kossakiem, uważała go za człowieka miękkiego, łatwo ustępującego, a więc pozbawionego kwalifikacyi na rzecznika artystów. Wybór do komitetu Łuszczkiewicza dolał oliwy do ognia. Mało powiedzieć, że go nie lubiano. Widziano w nim, słusznie czy niesłusznie, uosobienie zgryźliwości i przekory, stąd z góry zaręczano, że skrzywi myśl założycieli; zresztą projekt galeryi i Muzeum przyjął on z drwiącym uśmiechem i nie taił się ze zdaniem, że z tej mąki nie będzie chleba, że się porwano na rzecz niemożliwą do przeprowadzenia.

Narady komitetu przewlekały się. Czasem przedostała się o nich wiadomość stwierdzająca obawy artystów. Tak n. p. Łuszczkiewicz przedstawił projekt, aby przyszła instytucya gromadziła nietylko oryginalne dzieła sztuki, ale kopje z obrazów i odlewy z pomników. Wywołało to formalną burzę wśród artystów. Zbierali się na narady, pisali protesty, chcieli wysłać deputacyę do marszałka krajowego, aby sprawę założenia galeryi czy Muzeum odebrał miastu i oddał w ręce kraju. Jedynie kraj, dowodzili, może być właścicielem przyszłej instytucyi, bo nada jej powagi i zresztą kraj ma po temu środki finansowe, biedne zaś miasto wyposażyć jej nie będzie w możności. Bolało też artystów, że całkiem zapomniano o drugiej ich inicyatywie, o urządzaniu co kilka lat wielkich wystaw sztuki polskiej.

Pamiętam dobrze te narady, bo żyjąc w serdecznych stosunkach z artystami, byłem na nie zapraszany. Wzywano też czasem na nie obu artystów członków komitetu i dawano im wskazówki jak mają bronić myśli i praw założycieli. Posiedzenia bywały nieraz bardzo burzliwe. Największym zwolennikiem walki na ostre był genialny Pruszkowski. Chciano nawet cofnąć dary i pisano do Siemiradzkiego, aby powagą swoją ratował sprawę.

Siemiradzkiemu jednak, rzecz prosta, nie wypadało się mieszać do zatargu. Czas pomału osłabiał ataki opozycyi — a komitet radził i radził całe miesiące, ba! lata nad statutem Muzeum. W tym czasie przybywały nowe dary artystyczne i pamiątkowe. Między innemi zakupiono w drodze składek „Gladyatora“ Welońskiego — na ten cel Koło literacko-artystyczne złożyło 1.000 złr. jako część dochodu z balu urządzonego w r. 1882 w Sukiennicach.

A komitet radził. Aż nareszcie po 3 i ½ latach statut Muzeum, wypracowany podług wskazówek Łuszczkiewicza, przedłożono Radzie miejskiej; referentem był znakomity mówca, adwokat Faustyn Jakubowski. Odparł zręcznie wszelkie ataki i uzyskał zatwierdzenie statutu. Celem Muzeum, według tego statutu, było „przedstawić na zebranych okazach stan sztuki i kultury w Polsce w historycznym i bieżącym rozwoju“. Zbiory przyszłej instytucyi podzielono na 12 działów, w których znalazły się i „pamiątki Mickiewiczowskie“, bo już dość ich napłynęło i „kamee i gemmy“, bo agitowano za nabyciem ich zbioru od handlarza starożytności Ciążyńskiego. Nawiasem mówiąc zbiór ten „niemający sobie równego“, miał posiadać wartość bajeczną, miał stać się największą atrakcyą Muzeum dla obcych; całe wagony Anglików miały zjeżdżać do Krakowa, aby te niesłychanie rzadkie i bezcenne kamyki oglądać, miało zabraknąć papieru na pisanie o nich studyów we wszystkich językach świata — ale dotychczas żaden Anglik jeszcze się nie pokazał, a bajeczna wartość zbioru okazała się w rzeczywistości... bajeczką.

Nie pominięto w statucie i ulubionej myśli Łuszczkiewicza, aby zapełniać Muzeum kopiami i odlewami. Własność Muzeum przyznawano miastu, motywując tem, że to je zabezpieczy na wypadek... zmian w karcie Europy. Kraj, — tłumaczono, — może przejść pod inne panowanie (wojnę z Rosyą uważano za bardzo bliską), a jego majątek stanie się majątkiem zwycięzkiego państwa. Własność zaś miasta, to własność prywatna, nienaruszalna.

Uchwalono. Opozycya nie dała znaku życia. Tylko wychodzący wówczas w Krakowie „Przegląd literacko-artystyczny“, będący w bliskich stosunkach z artystami, w fejletonie swoim o wyborze dyrektora Muzeum, tak żartował z powziętej uchwały:

„Jak wiadomo Rada miejska przychyliła się do tego, aby w Muzeum znalazły miejsce odlewy z pomników i kopie z obrazów — wobec czego łatwo przewidzieć można, że w braku funduszów na oryginały, Muzeum stanie się zbiorem samych kopii. Czyby więc nie można zrobić jakiej kopii dyrektora i w przedsionku Muzeum ją posadzić? Kosztowałoby to znacznie mniej, a rezultat byłby ten sam. Kopia bowiem Muzeum tak mało będzie potrzebowała fachowej wiedzy, że kopia dyrektora całkiem jej wystarczy.

„I jeszcze jeden wniosek! Rada miejska uznała Muzeum za własność gminy, gdyż tym tylko sposobem, według jej mniemania, zabezpieczy się Muzeum w razie najścia Mongołów. Nie wierzę ja bardzo w ten środek, bo kto kradnie i rozbija, ten się nie pyta do kogo rzeczy kradzione należą, ale jeżeli jest rzeczywiście tak, jak dr. Jakubowski twierdzi, to może byłoby dobrze całą Galicyę zapisać na własność gminy Krakowa. Wtenczas żaden Moskal pokazaćby się tu nie śmiał, a gdyby chciał coś urwać, sromotnie by się zawstydził, ponieważby mu oznajmiono: kochanie! kraść nie wolno, bo to własność gminy miasta Krakowa!

„I jeszcze jeden, ale dalibóg ostatni już wniosek. Jeżeli Muzeum narodowe, składające się dotychczas z przedmiotów ofiarowanych mu jako własności kraju, może *jure caduco* gmina miasta Krakowa zabierać dla siebie — to możeby na tej samej podstawie, rozszerzając tylko mój wniosek poprzedni, całą Kongresówkę, Litwę, kraje zabrane i Wielkopolskę, uznała Rada miejska za własność gminy miasta Krakowa. Zabazgrze się parę arkuszy papieru, pogada się na komisyi, wysadzi się sprawozdawcę i sprawa skończona. Toćby się to Moskale i Niemcy gniewali, gdyby im zrobić podobnego psikusa i bez żadnych wojen i awantur odebrać to, co zabrali“.

Był to ostatni, już tylko humorystyczny, strzał w tej walce. Muzeum otwarto uroczyście dnia 11. września 1883 w przeddzień dwusetnej rocznicy wiktoryi wiedeńskiej. Do zbiorów jego dostało się wiele cennych przedmiotów z urządzonej, w miesiącach letnich tego roku, wystawy zabytków z epoki Sobieskiego.

Dyrektorem Muzeum został Władysław Łuszczkiewicz, kustoszem Teodor Ziemięcki. Uposażenie Muzeum było nadzwyczaj marne. Miasto przeznaczyło na ten cel 3.000 złr. rocznie, a kraj dał 500 złr. Cała ta suma, wraz z drobnym dochodem z opłat za wejście, miała wystarczyć na pensyę dyrektora (1.000 złr.) kustosza (600 złr.), wynagrodzenie służby, restauracyę dzieł sztuki, wszelkie wydatki administracyjne i na zakupno dzieł sztuki. A jednak i tej sumy nie wydawano, bo co roku spotykamy w ówczesnym budżecie Muzeum pozostałość kasową w kwocie 400—800 złr.

Obawy zatem artystów sprawdziły się. Tak się przynajmniej zdawało. Zamiast dobrej galeryi sztuki, kosztem kraju utrzymywanej, miała być „zbieranina wszelkiego rodzaju“, miał być „sklep handlarza sztuki i starożytności“.

Na szczęście pesymistyczne przewidywania zawiodły. Muzeum rosło i rozwijało się. Co prawda stworzyła je nie marna kwota przeznaczona na jego wydatki, ale ofiarność publiczna. Nie brano jej w rachubę, a ona jedna zaważyła na szali. Sprawiedliwość każe przyznać, że umiano ją pobudzić — była w tem wielka zasługa dyrektora i kustosza. Pracowali w najtrudniejszych warunkach, za liche wynagrodzenie, krępowani brakiem miejsca, bez sił pomocniczych, a pozostawili następcom wielkie i bogate zbiory. Część ich poprostu wyżebrali, na kupno innych osobne zbierali składki. Może niejedno dałoby się pierwszej dyrekcyi zarzucić (sarkano n. p. na „zakupy“ Łuszczkiewicza) ale tylko zła wiara może nie uszanować tej zasługi.

Z tych czasów pochodzą też najcenniejsze „perły“ Muzeum. Naturalnie mam na myśli tylko Muzeum właściwe, znajdujące się w Sukiennicach, albowiem Muzeum Czapskich i Dom Matejki, lubo stoją pod zarządem dyrekcyi Muzeum Narodowego, stanowią osobne instytucye, do których stworzenia ani dawna, ani dzisiejsza dyrekcya niczem się nie przyczyniły.

Dzisiejsza dyrekcya Muzeum znalazła się w świetnych, idealnych warunkach w porównaniu z istniejącemi za czasów Łuszczkiewicza. Oddano jej całe piętro Sukiennic — miasto, kraj i państwo pospieszyły jej z wydatną materyalną pomocą. Nie umniejsza to jej zasług, jej rzeczywistej płodnej pracy w uporządkowaniu, skatalogowaniu, rozmieszczeniu i powiększeniu zbiorów. Nie przypominają one już „kamieni rozpryśnionych mozaik“, nie wydają się „składem raczej, niż porządnem rozmieszczeniem przedmiotów“ (słowa jednego ze sprawozdań Łuszczkiewicza).

Ale dzisiejszy stan Muzeum nie należy już do mojej opowieści. Ramy jej dałyby się rozszerzyć materyałem faktycznym, lecz szło mi tylko o przypomnienie jak Muzeum powstało i o scharakteryzowanie stosunków, w jakich jego ciężki poród się odbywał. *K. Bartoszewicz.*

Niemcy w Galicyi.

(Ciąg dalszy).

Istotnie istnieją dwa takie przeciwne prądy. W nowszych atoli czasach straciła pruska komisya kolonizacyjna urok i powagę u galicyjskich niemieckich osadników. Szalbierskie, wręcz oszukańcze obietnice, jakie czynili jej wysłańcy w Galicyi otworzyły później wielom oczy. Dużo z uprowadzonych do Prus wróciło stamtąd z ogromnem niezadowoleniem. Ci stali się przykładem odstręczającym. Źródło galicyjskie tak dobrze jak zabite dla kolonizatorów pruskich. Chwilowo pastorowie górą z swoją organizacyą „Związku chrześcijańskich Niemców“.

Z Brigidau otrzymałem doniesienie uzupełniające z źródła niemieckiego, które opiewa: W roku 1783 przybyli nasi koloniści z Hessyi, Nassau i reńskiego województwa. Osadzono ich w bardzo zdziczałej okolicy. Las dziewiczy pokrywał całą okolicę; wilki, rysie i inne dzikie zwierzęta, które dziś należą do rzadkości, w znacznej liczbie przebywały tutaj. W r. 1803 powstał u nas pierwszy kościół ewangelicki, zwyczajna budowa z drzewa. Przed nim stały dwie stare lipy, świadkowie naszego przychodźtwa. Kościół spłonął, a na jego miejsce stanął murowany. Dawniejsi członkowie gminy byli ludzie co się tyczy oświaty i posłuszeństwa bardzo zacofani i moralnie zepsuci tak, iż gdy później pastor Mitschke robił na kazaniu wyrzuty z powodu ich niemoralnego zachowywania się, zamknęli następnej niedzieli kościół i sami odprawili sobie nabożeństwo bez pastora. Wojsko załogujące w Stryju dopomogło pastorowi do odzyskania władzy w kościele. Otoczyło kościół i siłą mocy wydaliło kobiety i dziewczęta z kościoła, zaś mężczyzn i chłopców kładło na ławkę pod onemi staremi lipami, wymierzając im chłostę cielesną, co dotychczas jeszcze zachowało się w pamięci mieszkańców. W r. 1864 zbudowano porządną szkołę, która obecnie posiada 2 klasy z 4 oddziałami. Przedtem mieliśmy jedną tylko klasę, w której uczył czytać i pisać jeden z miejscowych gospodarzy. Narzecze u nas szwabskie, które utrzymało się do dziś dnia. Chociaż mieszkańcy znają dobrze język niemiecki piśmienny, używają pomiędzy sobą narzecza, którego używają także na zewnątrz w stosunkach z żydami, Polakami i Rusinami. Dlatego zowią ich szwabami. Nasi koloniści posiadają stosunkowo wysoką oświatę i nie mały dobrobyt. Znać to w ich mieszkaniach i w ubiorach. Wieś nasza ma piękny wygląd. Wprawdzie położenie jej nie romantyczne, lecz okolica brzydką nie jest. Wieś leży na wzgórzu, otoczona żyznemi polami i małym lasem dębowym. Domy nie są rozrzucone jak w innych

tutejszych osadach, lecz ciągną się wzdłuż szeroki drogi, każdy dom otoczony pięknym ogrodem. Co się tyczy owoców stoi Brigidau na wysokim stopniu rozwoju kultury sadowniczej. Wiele owoców szlachetnego rodzaju wychodzi ztąd na sprzedaż, co przynosi mieszkańcom piękny dochód. Gmina czyni też postępy w innych także kierunkach. Mamy wybornie zorganizowaną straż pożarną z dobrymi przyborami, kasę Reiffeisena w miejscu, wagę gminną, jednem słowem gmina wzięła wszystko w swoje ręce i nie daje się żydom wyzyskiwać jak się to dzieje po wszystkich wsiach ruskich w starostwie naszem. Posiadamy też własne towarzystwo śpiewackie. W kierunku moralnym znać wielkie polepszenie. Odsetki dzieci naturalnych minimalne, tylko pijaństwo utrzymało się dość znaczne, chociaż w kościele zachowują się ludzie dość przyzwoicie. Do naszej parafii należą osady Gassendorf i Neudorf. Niedaleko ztąd znajdują się gminy Stryj, Josefsberg i Gelsendorf".

„Pomoc musi przyjść z zewnątrz!" — woła superintendent Fritsche, mówiąc o stosunkach gmin i szkolnictwa wyznaniowego — „Byłoby ciężkim grzechem, popełnionym na dzielnej braci, która od lat 120 wiernie strzeże spuścizny ojców, jeśliby o niej zapominano dlatego, iż z pewnej strony posterunek, na którym ona walczy wystawiają jako stracony. Nie, dzięki Bogu tak nie jest. Mamy przecież przed sobą świadectwo historyi, że nasi koloniści posiadają podostatkiem siły odpornej, by im ufać można, że także dalej nie ostygną w ciężkiej walce, jaka przypada im w udziale, lecz że ją w wytrwałej wierności prowadzić będą do końca, aż im lepsza zabłyśnie przyszłość. Posiadają też zrozumienie dla odpowiedzialności, jaka na nich cięży wobec Boga, ojczyzny (juści niemieckiej) i kościoła pod względem utrzymania ojcowskiej spuścizny; chcą oni pozostać wierni ziemi, na której przodkowie zdobyli im prawo obywatelstwa, chcą żyć, a gdzie jest wola, tam nie braknie drogi ku temu. Nieraz już kroczyli nią, i zawsze posileni, pocieszeni i pokrzepieni wracali do ogniska domowego. Pełni zaufania wstępujemy ponownie w ciężkiej godzinie na tę drogę, na drogę prowadzącą do „Gustav-Adolf-Vereinu". On, który pomagał dotychczas, nie opuści nas teraz a czynić będzie to tem bardziej z radością, chęcią, o ile wśród wielokrotnych galicyjskich utrapień nie brak tu i ówdzie objawów świadczących o sile żywotnej działającej niezniszczalnie w naszych gminach. Ujawnia się bowiem zawsze jeszcze rozpłodność w dążnościach do zakładania nowych kolonii".

Do ewangelickich osad zaliczają się menonici. O osadach menonickich w Galicyi donosi J. Rohrer [1]) iż cesarz Józef I. osadził w Galicyi Wschodniej 18 rodzin menonickich, mianowicie w okolicy Szczerca w Einsiedeln, Falkenstein i w Rosenbergu czyli Neu-Szczerzec. Pochodzą oni z Szwajcaryi z kantonu berneńskiego (Mompelgard). Prowadzą wzorowe gospodarstwo mleczne, sery ich dorównują szwajcarskim. Bredetzky podaje liczbę rodzin osiedlonych menonitów czyli anababtystów na 20 „a rozdział ich następujący: 12 rodzin w Einsiedeln, 4 w Falkenstein, i 4 w Rosenbergu. Dodaje, iż mówią wyrazami biblijnymi. Nabożeństwo ich składa się tylko z czytania biblii. Rzadko można z nimi mówić o jakiemkolwiek zdarzeniu, żeby w rozmowie nie przytaczali i nie stosowali jakiego przykładu lub przygotowania z starego lub nowego testamentu. Rohrer dzieli galicyjskich menonickich osiedleńców na dwie sekty, na „haftkarzy" („Heftler") i na guzikarzy („Knöpfler"). Nazwy pochodzą ztąd, iż jedna ich część nie używa przy ubiorze guzików, lecz posługując się bardzo prostymi szatami spina je drucianemi haftkami. Ci prawowierniejsi menonici noszą także brody a ubierają się biało. Żyją miernie, wstrzymują się zupełnie od picia alkoholicznych napojów i wogóle usiłują hamować wszelkie zapędy i wybuchy namiętności i zmysłowości. W małżeństwie są bardzo zazdrośni i wzajemnie nadzwyczaj są trwożliwi w wykonaniu obowiązków małżeńskich. Wystarczy uprzejmy, przyjazny uśmiech małżonki, lub jeśli uciśnie po przyjacielsku dłoń jakiego młodego człowieka, by podpadła klątwie. W takim razie wykluczają ją na kilka tygodni ze zgromadzenia. Hańba czyni kobiety tak przezornemi, iż wyglądają prawie głupkowato, gdy się znajdą, do czego przypadkiem, w obliczu jakiego młodego człowieka. Spuszczają wtedy wzrok ku ziemi, by tylko nie dać powodu mężom ostrej obserwacyi do posądzenia. Klątwa taka, to nie żarty. Żona wyklęta nie śmie przez czas klątwy siedzieć z mężem przy jednym stole, a nawet nie wolno jej używać ręcznika mężowskiego do obcierania i nikt z gminy menonickiej nie mówi ani słowa do niej. W Rosenbergu mieszka ich wójt główny. Z początku traktowano menonitów jako protestantów i zniewalano ich do przyczyniania się w utrzymywaniu pastora w Dornfeldzie. Ponieważ oni atoli nie uznają pastora, tylko wybierają z swego grona nauczyciela dla sprawowania funkcyi religijnych, więc dekretem cesarskim uwolniono ich w r. 1795 od uiszczania dodatku do utrzymywania pastora i gminy ewangelickiej. Podług swej religii nie przyjmują żadnych urzędów, nie składają przysięgi i nie wolno im wykonywać służby wojskowej. Są to ludzie pokojowi i spokojni, dobrzy i łagodni, którzy z sługami obchodzą się jak z dziećmi własnemi. Podług spisu ludności jest ich obecnie w Einsiedel 215, w Falkensteinie 331 i w Rosenbergu 53 dusz, razem 559. Mimo wspólności językowej tworzą oni w niemieckiem skupieniu osadniczem koło Szczerca odrębny, miniaturowy ludek, odznaczają się nadzwyczajną pracowitością, oszczędnością i inteligencyą wyższą od kolonistów niemieckich. Polscy i ruscy sąsiedzi utrzymują z nimi przyjaźne stosunki. Uczciwość ich słynie w całej okolicy.

O niemieckich koloniach katolickich w Galicyi skąpe tylko można zebrać daty. Źródła bowiem ewangelickie, jedynie obfitsze, bardzo mało zawierają danych o tem. Traktują one bowiem galicyjskich Niemców katolików zupełnie ubocznie a nawet mylnie podają liczbę osad i ich mieszkań. Harlos oblicza Niemców katolików na 12.000, zaś ich osady na 50. Taka sama liczba osad znajduje się u Fritschego. Liczby te są atoli mylne. W samym bowiem powiecie bialskim wynosi liczba niemieckiej ludności katolickiej z wyłączeniem miasta Biały około 8000, a z Białą przeszło 11000. Co do liczby zaś osad podaje prof. dr. Buzek, którego z pewnością o przesadę posądzić nie można, ich liczbę tylko w samej Galicyi Wschodniej 51, do czego doliczywszy 10 osad wiejskich przypadających na Galicyę Zachodnią, otrzymamy sumę 61. Lecz i ta liczba jest za niska. Osad bowiem niemieckich katolickich posiadających mieszkańców od 100—4000 dusz jest podług mego obliczenia ogółem w Galicyi 69 z czego przypada na Galicyę Wschodnią 59, na Zachodnią 10 osad [1])

Jeszcze trudniej obliczyć dokładnie liczbę niemieckich mieszkańców w osadach wiejskich. Przyjmuję tu podaną przez prof. dr. Buzka liczbę 8100 na Galicyę Wschodnią, do czego przyjdzie doliczyć około 9000 Niemców katolików w osadach wiejskich Galicyi Zachodniej, zatem wiejska ludność niemiecka katolicka w Galicyi ogółem wynosi około 17000 zaś z doliczeniem niemieckich katolików w Biały przeszło 20.000.

W jakim stanie znajdują się niemieckie katolickie kolonie u nas?

Na to pytanie przychodzi mi trudno dać stanowczą odpowiedź. Niestety osad tych nie mogłem zwiedzać osobiście z wyjątkiem zakątku kresowego bialskiego, źródeł niema żadnych a od osób, obeznanych z miejscowymi stosunkami, do których udałem się z listowną prośbą o dostarczenie mi pewnych danych, otrzymałem bądź bałamutne wiadomości, bądź ogólnikowe i od właściwej rzeczy odbiegające, iż użytku z nich nie podobna było zrobić.

Pod tym względem mogę tylko robić na podstawie bardzo skąpych danych pewne przypuszczenia. Jednak porównując liczbę obecnych katolickich kolonii niemieckich w Galicyi 69, z wykazem Bredetzkego wyliczającym 41 względnie 45 takich osad, widzimy, że liczba ich od r. 1812, z którego pochodzi ten wykaz, wyrosła o 24. Tłumaczy się to w części późniejszem zakładaniem kolonii, w części zaś tworzeniem się nowych osad z przyrostu niemieckiej ludności na miejscu. Najwięcej nowych osad przypada na powiaty sądowe: Skole, Dolina i Żurawno [1]).

Zdaje mi się, że o wzroście niemieckiej katolickiej ludności w Galicyi można mówić jedynie w bialskiem i na Podkarpaciu stryjskiem i że wogóle katolickie kolonie zajmują silniejsze i odporniejsze stanowisko narodowe wszędzie tam, gdzie w pobliżu znajdują się niemieckie ewangelickie osady. Odosobnione osady, które zdołały dotychczas zachować odrębność narodową, znajdują się w stanie upadku t. j. zaniku narodowego. W Galicyi Zach. widzimy prócz na kresach bialskich jedynie zwartsze skupienia niemieckiej ludności katolickiej w mieleckiem, 3 osady z ludnością około 600 dusz, co przedstawia także liczbę minimalną. Te trzy osady opierają się narodowo o trzy ewangelickie kolonie (Padew kolonia, Reichsheim, Hohenbach), tworząc razem z nimi konklawę narodową, inaczej nie zdołałyby utrzymać swej odrębności. Podobnie rzecz się ma w łańcuckiem i kolbuszowskiem Niemców w łańcuckiem zowią „Głuchoniemcami".

Obecnie organizują się Niemcy w Galicyi narodowo, o czem już powyżej była wzmianka, pobrzękując szabelką wzajemności narodu niemieckiego, który ujmie się ich wrzekomych krzywd, jakie Polacy mają im wyrządzać. Odezwa wzywająca do utworzenia organizacyi narodowej względnie „Związku chrześcijańskich Niemców w Galicyi" (*Bund der christlichen Deutschen in Galizien*), już zawiązanego i czynnie występującego — oznajmia, iż celem organizacyi jest „popierać świadomość przynależności szczepowej, miłości do wielkiego narodu niemieckiego i do odziedziczonej po przodkach ziemi" t. j. polskiej królewszczyzny zabranej, na której cesarz Józef I osiedlił kolonistów.

Do tego celu zdążać będzie organizacya niemiecka przez 1. założenie niemieckiego pisma w Galicyi — wychodzi już we Lwowie *Deutsches Volksblatt fur Galizien* — przez utrzymywanie wędrownych nauczycieli — czytaj: stałych agitatorów podróżujących, przenoszących wichrzenia z miejscowości do miejscowości, z powiatu do powiatu, — ustanowienie niemieckich duchownych i nauczycieli, przez urządzanie odczytów, zgromadzeń, uroczystości niemieckich rozdzielanie „dobrych" (co to znaczy łatwo sobie wyobrazić) książek i pism ulotnych; przez napominanie gnuśnych i ospałych rodaków.

Dalsze punkty programu, których jest jeszcze 9 opiewają:

2. Związek zamierza przy pomocy niemieckiego Schulvereinu zakładać niemieckie szkoły, istniejące szkoły niemieckie popierać i wspomagać, niemieckich nauczycieli, którzy się około sprawy swego ludu zasłużyli, nagradzać i popierać, w miejscowościach o mieszanej ludności (miastach), zakładać niemieckie ogródki dziecięce a potrzebujących pomocy rodaków wspierać.

3. Związek pragnie założyć ogólny dom dla sierót niemieckich w Galicyi, jakoteż powszechne schronisko dla niemieckich uczniów we Lwowie a jedyne gimnazyum niemieckie w Galicyi, istniejące we Lwowie, strzedz i popierać.

4. Związek pragnie utworzyć niemieckie biuro pośrednictwa dla nauczycielstwa i kupców.

5. Związek pragnie uporządkować ruch wychodźczy. W miarę środków kupować w pobliżu większych osad niemieckich ziemię, na której rodziny, które pragną wychodzić, będą się mogły osiedlać. (Dok nast.)

---

[1]) Slavische Bewohner der oester. Monarchie. 2 t. Wiedeń 1804.

[1]) Prof. dr. Buzek wylicza w Gal. Wschod. następujące niemieckie osady katolickie: Sygnówka (powiat lwow.), Ottenhausen (powiat janow.), Burgthal, Ebenau, Weisenberg, Vorderberg (pow. grod.), Kaisersdorf, Krużyki, Neudorf (pow. samb.), Kranzberg (pow. łącki), Freifeld (pow. cieszan.), Burgau (pow. lubacz.), Mużyłowice (pow. jawor.), Feldbach (pow. krakowiecki), Mokrotyn kolonia, Wiesenberg (pow. żółk.), Rożanka, Zabow Mosty (pow. most.), Bruchenthal, Josefinenthal, Michałówka (pow. uhnow.), Mühlbach, Rehfeld, Ernsdorf (pow. bobrecki), Bekersdorf (pow. podhaj.) Kimcerz (pow. przemyślan.), Maleniska (pow. założ.), Korsów (pow. brodz.), Lagonia, Łany Niemieckie, (pow. kamion.), Angelówka (pow. oleski), Annaberg, Felizienthal, Karlsdorf, Smorze Górne (pow. skolski), Nowy Kałusz (pow. kałuzki), Ludwikowka, Hoffnungau, Teresówka, Mizun Nowy (powiat dolin.), Izydorówka, Lubsza, Machliniec, Nowe Sioło (pow. żuraw.), Obłaźnica, Poechersdorf (pow. bolech.), Königsau (pow. medenicki), Engelsbraun, Falkenberg, Rosenberg, (pow. drohob.), razem 51 osad.

W Galicyi Zach.: Łączka-Wiesenberg (pow. nowosąd.), Dornbach (pow. łańc.), Wildenthal (pow kolbusz.), Josefsdorf, Schönauger, Tuszów kolonia (pow. mielec.), Lipnik, Halcnów, Wilamowice, Komorowice (pow. bialski), razem 10 osad.

Z przytoczonych u Fritschego niemieckich osad katolickich pominął prof. dr. Buzek: Kornalówka, Jammerthal, Dobromil, Preppenthal, Deutsch-Jagonia, Borynia, Jozefshof i Neu-Dornbach.

[1]) W pow. skolskim: Annaberg, Felizienthal, Karlsdorf i Smorze Górne; w pow. dolińskim: Ludwikówka, Teresówka, Nowy Kałusz, Mizun Nowy; w pow. żurawieńskim: Izydorówka, Lubsza, Nowe Sioło, Obłaźnica

Spowszechniały patryotyzm.

(Głos tarnopolski).

Poważny nastrój. Przed nami katafalk przy-…any w narodowe emblematy, kościół przepeł-…ny tłumem rodaczek i rodaków wszelkich za-…dów i zapatrywań politycznych, tu i ówdzie …wet nieoficyalnie dygnitarze władz rządowych, …lacy. Pocieszający objaw, że tego roku na mszy … poległych braci w listopadowe noce 1831 ja-…ła się tak licznie publiczność z inicyatywy mło-…ieży

I zdałaby się jeszcze niejedna rzecz Trochę [illegible] kilka sztandarów, delegacyj Towarzystw …lskich i choć skromny zastęp umundurowanych …kołów. Msza żałobna za poległych braci w obro-…e ojczyzny, to nietylko akt partykularnego pie-…zmu młodzieży, ale chwila o głębszym i szerszym …stroju narodowym. Szczere uznanie należy się …łodzieży, że co roku pamięta o tej wzniosłej mo-…litwie za dusze poległych, ale i brać starsza po-…inna brać w niej obowiązkowy, a nietylko zdaw-…owy udział.

Ale nie o to mi chodzi. Nasunęły mi się te postrzeżenia przy innej sposobności.

Po nabożeństwie uderzyła pod strop bła-…galna, rzewna pieśń z piersi gniecionej stuletnią …newolą: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić …anie!“

Tuż obok mnie stoi zastęp młodzieży szkol-…nej. Niektórzy śpiewają, inni milczą, rozglądając się po kościele.

— Czemu nie śpiewasz kawalerze, zapytuję naj-…bliższego z brzegu?

— Nie umiem na pamięć słów — odpowiada …koeważąco.

— Jakto nawet pierwszej zwrotki kawaler nie …mie?

— Nie umiem, dawniej rozdawali kartki tośmy …szyscy śpiewali, a tego roku nie rozdali pieśni.

Ten krótki dyalog wystarczył mi najzupełniej. … więc nawet pierwszej zwrotki „Z dymem po-…rów“ nie umieją niektórzy z naszej młodzieży. …le „Erlkōniga“ lub partyę z „Wesołej wdówki“ …mieją z pewnością na pamięć.

Tak to zawsze bywa, gdy czego uczyć się …olno. W r. 1896 odsiadywaliśmy po 6 godzin …rceru za to, że gwałtem, wbrew zakazowi Dy-…ktora i katechety, odśpiewaliśmy po uroczystości …Mickiewiczowskiej pieśni narodowe. W tymże roku [illegible] M. za oświetlenie krzyża krożańskiego otrzy-…ał naganę konferencyi i 16 godzin karceru. Umie-…śmy wtedy wszystkie zwrotki i do dziś dnia wię-…kszą część tekstu mam w pamięci.

Dziś gdy młodzież może śpiewać pieśni naro-…dowe bez przeszkody, wielu nie umie tekstu a może … melodyi.

Więc możeby się ktoś zajął tą skromną i po-…żyteczną propagandą?

G. C-ski.

Podobno...

Podobno Anglik ma zwyczaj nie wiele mówić o swoich zamiarach, ale to, co zapowiedział, wy-…konywa dokładnie.

Podobno Szkot zapowiada jak najwięcej i jak najgoręcej, a wykonywa — jeszcze więcej i jeszcze gorzej.

Podobno Żyd nigdy niczego nie zapowiada, tylko — działa.

A podobno my, Polacy, zwykliśmy zapowia-…dać wszystko, ale to wszystko, co mamy i czego nie mamy w sercu, głośniej i goręcej aniżeli naj-…głośniejsi i najgorętsi Szkoci, lecz wykonywać sta-…ramy się — jak najmniej albo i wcale nic.

Co — podobno — ztąd pochodzi, że u nas rozmyślanie zastępuje się... opowiadaniem, a „pię-…kne gesty“ ceni się więcej, aniżeli skromne czyny.

Bolesław Prus.

Głosy członków „Straży Polskiej“.

I.

Cieszyn, 10. XII. 1909.

Dopóki Galicya będzie wzbogacała najzaciet-…[illegible] wrogów polskości na Śląsku Cieszyńskim? …Wiadomo wszystkim, że dyrektor arcyksiążę-…cej [illegible] na Śląsku Payer i hr. Larisch z Kar-…winy są głównymi ciemiężcami polskiego ludu na Śląsku. Oni to całą zgrają swych urzędników te-roryzują na każdym kroku polskiego chłopa i robotnika, narzucają im szkoły niemieckie, a nawet radnych gminnych. W ostatnich czasach za pieniądze tych hakatystów powstało renegackie pismo „Ślązak“, które cynicznie plwa na wszystko, co polskie i znieprawia dusze naszego ludu w jego ojczystym języku.

Do tych czarnych duchów polskiego Śląska należy jeszcze dodać właścicieli przedsiębiorstwa hut żelaznych w Trzyńcu.

Ta trójca cynicznie głosi: „ausrotten die Polen“ a równocześnie wysyła wyroby swych fabryk do Galicyi i to w wielkiej masie do jej stołecznych miast Krakowa i Lwowa. Niestety lud Polski w Galicyi kupuje te wyroby, niepomny, że niesie tem pomoc znieprawieniu i wynarodowieniu swoich braci z lewego brzegu Białki!

Mam tu na myśli przedewszystkiem piwo cieszyńskie z browaru arcyksiążęcego (dyrektorem hakatysta Payer), piwo karwińskie z browaru hrabiego Larischa i żelazne wyroby z hut trzynieckich.

Te huty właśnie, które tysiące rocznie targują od Galicyi, dziś na polskiej ziemi wypędzają pod zimę polskich robotników, a w ich miejsce sprowadzają niemieckich aż z Karyntyi.

Aż wstyd o tem pisać gdy się widzi, jak jesteśmy obojętni na punkcie walki ekonomicznej, jak tuczymy swoich wrogów.

W Krakowie i we Lwowie istnieją olbrzymie składy piwa cieszyńskiego i karwińskiego. które zabijają swą konkurencyą browary galicyjskie.

Polacy spijają hakatystyczne piwo i może często rozprawiają przy niem o patryotyźmie.

Gdyby Czechowi zdarzyło się przez pomyłkę wypić piwo narodowych wrogów, to z pewnością rozchorowałby się z tego, — u nas inaczej.

My wzbogacając wroga naszego narodu, rozprawiamy o miłości Ojczyzny. *W. S.*

II.

Mullan, Idaho (North America) 18. list.

Od kilku lat jak jestem w Ameryce, zauważyłem że co roku „Spółka Wydawnicza Polska“ w Chicago, a raczej wydawcy „Dziennika Chicagoskiego“ sprowadzają kalendarze od firmy A. Steinbrenera.

Tego roku również się w nie zaopatrzyli, jak załączone ogłoszenie wskazuje, pomimo tego, że niemal cała prasa polska, tak w Europie jak i na obczyźnie je potępia, o czem i sam „Dziennik Chicagoski“ wspominał, co jednak jego wydawcom nie przeszkadza trudnić się zyskowną sprzedażą owych potępianych kalendarzy.

Przed kilkunastu dniami zwróciłem na to uwagę w liście do owej „Spółki Wydawniczej Polskiej“, czyli raczej do wydawców „Dziennika Chicagoskiego“. Napisałem, że wstydem jest, aby „Spółka Polska“ popierała interesa niemieckie; że przecież mamy dosyć kalendarzy wydawanych przez czysto polskie firmy i o wiele lepiej w treść literacką zaopatrzonych, za które zresztą grosz polski szedłby z powrotem do polskiej kieszeni; wspomniałem również o bojkocie firm niemieckich przez Polaków w Europie, wspomniałem o krzywdach nam wyrządzanych przez Niemców, z czego wynika, że nie należy popierać interesów niemieckich.

Skutek mojego listu był ten, że ks. Pr. Gordon, główny zarządca „Spółki Wydawniczej Polskiej“ odpisał mi w te słowa: „Czy Steinbrener jest Niemcem, czy Żydem, czy też Czechem, tego nie wiemy, wiemy atoli, że posiada nakładową drukarnię w Wimperku, w Czechach.

„My jednak z jego zakładem w żadnych stosunkach handlowych nigdy niebyliśmy. Kalendarze nabywamy od **czysto polskiej Spółki** w Chicago: The Ecclesiastical Groods Co. 617 Noble ul., czego dowodem okładka kalendarza.

„Niemieckich kalendarzy jak Pan piszesz, nigdyśmy nie sprzedawali ani polecali“.

Jest to tylko wykręcanie się, bo ogłoszenie w „Dzienniku Chicagoskim“ wyraźnie mówi od kogo kalendarze pochodzą [1]).

Przeto upraszam łaskawie Szanowną Redakcyę „Straży“ aby raczyła wydawców „Dziennika Chicagoskiego“ poinformować, kim jest Steinbrener i jaka to firma.

[1]) Jak sprawdziliśmy ogłoszenie Dziennika Chicagoskiego rozpoczyna się od słów: „Otrzymaliśmy wielki zapas pięknych kalendarzy polskich z Europy, głównej firmy A. Steinbrennera“ Później idzie wyliczenie znanych tytułów — nie brak i „Przyjaciela żołnierza“, o czem czytaj w dziale „Z naszego przemysłu i bojkotu“.

Tembardziej, że zauważyłem, iż polscy handlarze w Ameryce nietylko kalendarze, ale i książki do nabożeństwa tylko tej firmy sprzedają, a i w kraju drobni handlarze rzeczy religijnych na składzie je utrzymują. *Marcin Zontek.*

III.

Bytom 9. grudnia 1909.

Składam serdeczne dzięki za artykuł w sprawie Pracy poznańskiej. Krytyka była powinna być zaraz na miejscu, ale pożal się Boże, stosunki górnośląskie nie pozwalają na to, ponieważ panem poznańskiej Pracy jest pan poseł A. Napieralski i tak samo wszech panem niemal gazet górnośląskich jak „Katolika Górnoślązaka“, „Głosu Śląskiego“, „Dziennika Śląskiego“, „Nowin Raciborskich“ i „Gazety Opolskiej“. Więc nie ma się gdzie w tej sprawie użalić, bo żaden artykuł tyczący się jednej z tych gazet nie zostanie w innej umieszczony. Że to co napisała Praca szkodliwe dla sprawy polskiej, to już nie potrzebuje żadnego tłumaczenia, bo najgorszy przeciwnik sprawy polskiej by się niezdobył na takie poniżenie narodu polskiego. P. Napieralskiemu to już nic nowego, bo on sam już kilka takich artykułów napisał, na co jest cały szereg dowodów. Więc jeżeli Praca poznańska pana Napieralskiego zamierza tak ogółowi służyć, to bardzo ślicznie za to dziękujemy. Kraków jest dla każdego polaka święty. Co się tyczy przyjęcia ludu z wszystkich krańców ziemi polskiej to nie będę powtarzał tego co „Straż Polska“ wyświetliła... *J.*

IV.

„Echte Persen Teppiche Arslanien“ — taki szyld umieszczono w Rynku głównym nr. 17 w K r a k o w i e.

Na moje zapytanie dlaczego nie po polsku, odpowiedział mi jakiś szwabik, czy udający szwabika, d o s ł o w n i e:

1) Wir sprechen nur deutsch,
2) Bleiben wir kurze Zeit in Krakau,
3) Sind wir in Oesterreich!

Spodziewam się, że Szan. Straż Polska postara się o odpowiednią reklamę dla tego HKT.

Z poważaniem

B. W.

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Kupujcie tylko węgiel krajowy! Galicya i Bukowina spotrzebowuje rocznie około 26,000.000 cent. metr. węgla kamiennego. Z tego dostarczają około 12,000.000 cent. metr. kopalnie krajowe (Zagłębie krakowskie) zaś przeszło 14,000.000 cent. metr. sprowadza się do naszego kraju węgla pruskiego.

Galicya płaci więc za węgiel haracz roczny pruskim kopalniom około 22,000.000 koron, a pruskim kolejom za przewóz tego węgla blizko 2 miliony koron, posiada zaś takie bogactwa węgla w ziemi i takie naturalne warunki zbytu, że przynajmniej równa powyższej kwota powinna wpływać do kraju z eksportu węgla.

Kraj, który rzeczywiście w ostatnich czasach czyni nadzwyczajne zabiegi na polu uprzemysłowienia i we wszystkich kierunkach wytęża swe siły, przechodzi niestety nad rodzimym węglem — który jest przecież podstawą przemysłu — do porządku dziennego niemal z obojętnością i dobrowolnie wzbogaca pruskich właścicieli kopalń, którzy za to polskiego górnika wyzyskują, gnębią i wynaradawiają.

To samo odnosi się do społeczeństwa całego. Jest rzeczą wprost niezrozumiałą jak społeczeństwo nasze, które bojkotuje z wszelką pochwały godną konsekwencyą guziki pruskie lub inne drobne materyały, — które w naszym bilansie handlowym reprezentują kilka lub kilkanaście tysięcy koron — z zimną krwią może patrzeć na import setek tysięcy wagonów pruskiego węgla, któremu krajowy w niczem, co do dobroci, nie ustępuje.

Uświadomienie społeczeństwa o krzywdzie, jaką samo sobie wyrządza, kupując sztucznie reklamowany towar pruski, powinno być zadaniem wszystkich ludzi dobrej woli, którym nietylko rozwój naszego przemysłu węglowego, ale i dobro wogóle kraju leży na sercu.

O zabawkach.

W okresie przedświątecznym najubożsi nawet rodzice kupują dla dzieci jakąś zabawkę.

Wiedzą o tem utrzymujący składy, sklepy i stragany zabawek i stosownie do swej zamożności i klienteli nagromadzają obecnie całe stosy tego towaru.

Sprytna handlarka, chcąc zachęcić kupujących, zapewnia:

— To są zagraniczne zabawki!

Sprytniejszy od niej właściciel niejednego sklepu pozna odrazu, z kim ma do czynienia i stosownie do tego albo mówi:

— Upewniam, że to są wyroby swojskie, my z zagranicy teraz nic nie sprowadzamy.

Lub też dowodzi:

— Krajowe zabawki nie wytrzymują konkurencyi — są niezgrabne, ciężkie, źle zrobione, nie mogą rozbudzić w dzieciach poczucia piękna.

I żeby dowieść prawdziwości słów swoich, wyjmuje z ukrycia jakiś nieudolny wyrób dla porównania z ładnie wyglądającą na pozór zabawką zagraniczną.

Takich sklepów jest legion.

A nawet śmiem twierdzić, że niema prawie żadnego, w którymby nie było zabawek zagranicznych. I to wcale nie z Bawaryi, będącej ojczyzną zabawek, lecz od najbliższych naszych sąsiadów Prusaków.

W jednym ze sklepów, bardzo renomowanych, przed kilku miesiącami kupowałam łamigłówkę; mimo wszelkich oznak pruskiego towaru tj. ubrania dzieci, składających łamigłówkę i stempla, umiejętnie zatartego, sklepowa utrzymywała, że to jest towar swojski. — Toż samo było z koniem i innemi zwierzętami. Zbliżyłam się więc do właścicielki, siedzącej wspaniale za kontuarem, i wyraziłam zdziwienie, że w jej sklepie, uważanym za czysto polski, mogą się znajdować zabawki pruskie.

— Myli się pani — odrzekła dama z za kontuaru z wielką emfazą — Ja nie plamię swego sklepu wyrobami niemieckimi!

— A ta firma? — zapytałam, pokazując zatarty stempel.

— Nie jestem winna, że wyroby nasze kładą napisy niemieckie! — rzekła z godnością, zacierając palcem napis.

— Proszę to zabrać! — zawołała na sklepową, mierząc ją gniewnym zwrokiem. I odwróciwszy się, dodała z godnością:

— Nikt mi jeszcze takiego zarzutu nie uczynił!

Nie pozostawało mi jak opuścić sklep, nie kupiwszy zabawek.

Kupiłam je w innym.

Mam wszakże to przekonanie, że i w tym innym, jak wogóle w każdym, poza kilkoma okazami swojskimi, wszystkie zabawki są pruskie.

W niektórych sklepach znów utrzymują:

— Publiczność nie chce kupować zabawek swojskich.

Zapytać się kupujących, odrzekną:

— W sklepach nie można dostać zabawek w kraju wyrobionych.

Słowem, jak w wielu sprawach, tak i w tej na pozór drobnej, wytwarza się błędne koło.

A jednak śmiem obwiniać najwięcej publiczność.

Gdybyśmy żądali i kupowali tylko zabawki, wyrobione w kraju, sklepy dla własnego interesu nie sprowadzałyby zabawek z zagranicy, a pieniądze, które tam idą na ten konieczny zbytek, zostawałyby w kraju.

Wszak, prócz zabawek galicyjskich wyrabianych oddawna w Zakopanem, Rabce, Sączu, Jaworowie, Kulikowie, Rzeszowie i na całem Podhalu — mamy w Królestwie Polskiem bardzo dobrze rozwijającą się fabrykę zabawek w Nałęczowie i założoną w początku r. b. taką fabrykę w Liskowie pod Kaliszem.

Zabawki te, głównie z drzewa, nic a nic nie ustępują wyrobom zagranicznym — mają zaś nad nimi tę wyższość, że zwracają uwagę dzieci na rzeczy swojskie, codziennego użytku, z któremi w późniejszem życiu zawsze się będą spotykały.

Lalki, sprowadzane z zagranicy, są to wielkie damy, przyzwyczajające dziewczynki do widoku strojów, których i tak każda dość wcześnie zapragnie. Lalki w ubraniach charakterystycznych ludowych rozbudzić mogą zamiłowanie do wskrzeszenia tych strojów, tak dziś na ogół przez lud zaniedbanych.

Na obrazkach, sprowadzanych z zagranicy, są po największej części zwierzęta podzwrotnikowe, dziecko uczy się je poznawać i nic nie mamy przeciw temu. Lecz spytajmy dziecko: Jakie znasz zwierzęta? Odpowiedź: Znam lwa, tygrysa i t. p. Żadne zaś nie powie: sarnę, wydrę, dzika i t. p., a nawet psa, kota, bo obrazki obce, po największej części niemieckie, wraziły mu w pamięć namalowane zwierzęta, zacierając te nawet, które widzi codziennie żywe.

Ale to już wkracza w dziedzinę pedagogiki, obecnie zaś chodzi nam tylko o to, żeby publiczność, kupująca zabawki, zwróciła uwagę, jakiego one są pochodzenia, żądała zabawek swojskich, a jeżeli ich w sklepie nie będzie, opuszczała sklep, nie kupując zagranicznych. *Z. Morawska.*

„Tachidor“. Na krakowskiej wystawie budowlanej w domu techników wystawiono model maszyny do wypłaty pieniędzy, pomysłu p. Jana Planeckiego, nauczyciela szkoły wydziałowej im. Jana Kochanowskiego w Krakowie.

Maszyna ta — za pociśnięciem paru klawiszy i pokręceniem korby — w jednej sekundzie, a nawet i szybciej wypłaca metalowe pieniądze w ilości kilkuset koron i kikudziesięciu halerzy, kwotę tę notuje i pokazuje w okienkach dla kontroli.

Wskutek szybkiej wypłaty i pewności funkcyonowania będzie można używać tej maszyny do masowych wypłat robotników w fabrykach, kopalniach, a także do wypłat reszt pieniężnych w kasach kolejowych, bankach, sklepach i t. d.

W kołach fachowych konstrukcya tej maszyny żywe obudziła zainteresowanie.

Spodziewamy się, że wynalazca p. Jan Planecki i jego finansiści pp. inżynier Drobniak, dyrektor kopalni węgli w Brzeszczach i hr. Dominik Potocki, dołożą wszelkich starań, żeby nowy produkt naszej polskiej wytwórczości wyrabiano w naszym polskim kraju, a nie zagranicą.

Jeżeli Polak wynalazł taką maszynę, którąby pewnie Niemcy i Amerykanie się szczycili, dlaczegóż Polacy nie mieliby jej wyrabiać? Wspierajmy przemysł rodzimy, a wyzwolimy się z jarzma ekonomicznej niewoli.

Z lwowskiej Organizacyi bojkotowej otrzymujemy następujące uwagi:

W akcyi uprzemysłowienia naszego kraju zainteresowany jest obecnie cały inteligentny ogół społeczeństwa. Zabierają głos w tej sprawie fachowi — a jeżeli czasem także i niefachowi, to tylko dowód, że ogół odczuwa dotkliwie brak przemysłu i że nadszedł czas, kiedy powstające fabryki mogą liczyć na usilne poparcie społeczeństwa.

To też powstają one u nas obecnie liczniej, niż kiedykolwiek przedtem. Atoli w ocenie ich pożyteczności dla naszego społeczeństwa trzeba być ostrożnym, bo nie wszystkie te fabryki zasługują na jednakie poparcie nasze. Odróżnić musimy między niemi 3 typy.

Typem dodatnim, który prawdziwie przyczynia się do urzeczywistnienia jednego z celów naszej zdrowej narodowej polityki — do ukrajowienia produkcyi — jest fabryka pracująca naszemi siłami i kapitałem o ile możności naszym, a jeśli obcym, to w taki sposób, aby po jego oprocentowaniu i potrąceniu amortyzacyi pozostała jakaś nadwyżka u nas. Takie fabryki, dając w kraju naszym pracownikom możność pracy i uniezależniając nas ekonomicznie od obcych, krzepią naprawdę nasze siły narodowe.

Inna rzecz, gdy kapitał obcy zatrudniony w naszym przemyśle wynosi w procencie i amortyzacyi tyle lub więcej, niż dał korzyści. Wtedy rola tego kapitału jest w najlepszym razie obojętną a częściej dla nas ujemną. Stosunek taki może być chyba tylko chwilowo, jako stadyum przejściowe, cierpiany. Fabryki oparte na takim kapitale nie przedstawiają plusów w naszym bilansie.

Ale jest jeszcze jeden gatunek przemysłu, który niestety w ostatnich czasach pojawił się także u nas. Polega on na tem, iż wrogie nam żywioły zmierzają wprost do ekonomicznego i politycznego podboju naszego i w tym celu już to same — już też czasem dla zmylenia opinii publicznej w łączności z tutejszymi niepewnymi czynnikami, poświęcając nieraz na ten cel znaczne fundusze, zakładają przedsiębiorstwa, których trwałość musi być zakwestyonowana i których celem li tylko zajęcie ważnego posterunku, dla sparaliżowania istotnie pożytecznej akcyi społeczeństwa i jednostek w danym kierunku.

Baczność przed takiemi fabrykami!

Co zawierają kalendarze Szteinbrenera? Pod tym tytułem pomieściło kilka pism obszerny artykuł wykazujący całą nędzotę tego obcego, narzucającego się nam, wydawnictwa. Przytaczamy z niego kilka szczegółów, które zupełnie wystarczą dla charakterystyki tych kalendarzy:

„Papier lichy, druk ordynarny, okładka i ilustracye niżej wszelkiej krytyki. Najpospolitsza tandeta niemiecka: na ilustracyach lud w niemieckich strojach, nie brak nawet żołnierzy w pikelhaubach.

„Lecz zewnętrzna strona kalendarzy, niczem jest wobec jej treści. Treść ta — to przeważnie powiastki, masowo dostarczane przez niemieckich fabrykantów ludowej literatury, — lichota sensacyjna, od czasu do czasu podlana sosem moralnym, często w stylu groszowych powieścideł kryminalnych, tłómaczona z niemieckiego niedbale, a lokalizowana tylko przez zmianę nazwisk. Język polski haniebny, pełny niemieckich zwrotów, źle przełożonych na nasz język.

„Przegląd najważniejszych wypadków od lipca 1908 do lipca 1909 został przystosowany do potrzeb czytelnika Polaka w szczególny sposób. W dziale „Austrya“ mowa obecnie o jubileuszu cesarza, o aneksyi Bośni, o rocznicy bitwy pod Aspern i uczczeniu pamięci Andrzeja Hofera. O Galicyi, dla której przecież kalendarz jest przeznaczony — ani słówka.

„W rubryce „Niemcy“ obszerna wzmianka o obchodzie 50-letnich urodzin cesarza Wilhelma, w której brali udział i „katolicy, pomni słów cesarza, kiedy to powiedział, że szanuje każdą religię, która jedynym jest środkiem, łączącym wszystkich obywateli rozmaitych stanów“. Dalej o katastrofie w kopalni w Hamm, dużo o Zeppelinie, — o Polakach, o polityce antypolskiej Prus — ani słówka!

„Lecz kalendarze Steinbrenera zawierają znacznie gorsze rzeczy, których społeczeństwo polskie cierpieć nie może i nie powinno.

„Rozumiemy, że w specyalnym kalendarzu „Przyjaciel żołnierza“ wydawca musi gromadzić przykłady męstwa austryackich żołnierzy, wynajdować zapomniane potyczki (np. pod Stokach w 1799), gdzie Francuzi ponieśli „sromotną klęskę“ i odszukiwać dowody odwagi szeregowców, nawet w bitwie pod Magenta. Lecz nie wolno mu, wydając książkę dla Polaków żołnierzy, chwalić męstwa moskiewskiego żołnierza, „rówieśnika Napoleona“ i wyliczać, że „za mężne zdobycie Pragi“ otrzymał taki to order, a „za zdobycie Warszawy w r. 1831“ takie odznaczenie, — nie wolno polskiemu żołnierzowi stawiać za wzór austryackiego kaprala, który w r. 1848 w Krakowie, w sieni pałacu Wodzickich, nabija na bagnet chłopa powstańca i scenę tę ilustrować, aby tem dokładniej w pamięć żołnierza Polaka się wbiła, — i kończyć zapewnieniem, że kapral otrzymał złoty medal zasługi... Tu wszelkie wyrazy oburzenia są za słabe.

„Jedyną godną odpowiedzią jest: bezwzględny bojkot kalendarzy Steinbrenera, które do dziś w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy w Galicyi się rozchodzą“.

Kalendarze te, jak widzimy z listu powyżej w dziale „Głosy członków“ umieszczonego zawędrowały i do Polonii amerykańskiej — i tam przez handlarzy, tylko własny interes na oku mających, są rozpowszechniane ze szkodą kalendarzy polskich i ze stratą dla ducha narodowego.

Pierwsza Kontrola bojkotowa we Lwowie. Poddał jej się znany we Lwowie fabrykant cukrów p. Jan Höflinger, a po jej skrupulatnem przeprowadzeniu uzyskał pismo Organizacyi bojkotowej stwierdzające, że nietylko nie trzyma w swoich sklepach towarów niemieckich, ale wogóle gdzie tylko można, popiera wytwórstwo krajowe. Nawet maszyny w fabryce nie są z Niemiec, a surowce też nie z Hamburga, lecz z Tryestu, o ile muszą być zamorskie.

Fakt odbycia tej pierwszej kontroli i to z tak zaszczytnym wynikiem, wita Organizacya bojkotowa z najżywszą radością, dopatrując się w nim początków wydatniejszego powodzenia swej trudnej pracy. Oby ta pierwsza kontrola przełamała lody i pozwoliła ziścić się nadziejom, że rośniemy w karność, a z nią w siłę.

Jedni z wielu. Niedawno odbyła się we Lwowie w sprawie Spółki stolarskiej senzacyjna rozprawa przeciw p. Krukowi, podczas której wyszło między innemi na jaw, że za rządu obecnej dyrekcyi i zarządcy sklepu p. Siwka sprowadzano towary przeważnie z Wiednia i wprowadzano w błąd publiczność, która nabywała towary w Spółce stolarskiej, będąc tego przekonania, że kupuje towar tutejszy i popiera przemysł krajowy.

Obecnie, wskutek innych nadużyć w dyrekcyi Spółki, oddano sprawę do prokuratoryi. Zapewne przeprowadzone śledztwo wyjaśni całą sprawę i zostaną wreszcie usunięci ci, którzy w Spółce stolarskiej byli szkodnikami i działali przedewszystkiem na szkodę przeprzemysłu krajowego.

Czas, ażeby zaprowadzić jakiś ład w tej instytucyi, gdyż szkodaby była, gdyby upadła Spółka, założona przed laty kilkudziesięciu i ciesząca się poparciem publiczności, która w ostatnich czasach w sposób tak nieobywatelski była wprowadzona w błąd, nabywając za drogie pieniądze towar obcy jako krajowy.

Tak sobie...

Dla uczczenia pięćsetnej rocznicy Grunwaldu stawia Paderewski swoim kosztem pomnik Władysławowi Jagielle.

Czołem!

Choć mam dwie obawy.

Naprzód czy to „politycznie“ tak Grunwald przypominać i w spiż zakuwać postać króla, „zresztą“ bardzo wybitnego, który jednak brzydko intrygował przeciw Krzyżakom i zbszedł się z nimi tak nieładnie, a conajmniej niegrzecznie?

Nie wiem jak to będzie widziane... w Berlinie.

A druga obawa: czy pomnik się podoba znawcom krakowskim?

Ba! przybywa jeszcze obawa trzecia: czy można stawiać jakikolwiek pomnik w chwili, kiedy w stowarzyszeniu estetyków został zapowiedziany odczyt „o manii stawiania pomników?“

Nie koniec na tem. Jeszcze obawa czwarta: czy estetycy krakowscy do dnia 15 lipca zgodzą się na to, które miejsce uznać za najwłaściwsze pod pomnik Jagiełły?

„Niepolityczność“ pomnika Jagiełły przypomina mi, że kiedy tworzono komitet dla panoramy racławickiej, pewien mąż już wówczas dostojny, a później jeden z najdostojniejszych, bo i we fraku ministeryalnym chadzał, oświadczył, że chętnie przystąpiłby do grona komitetu, gdyby artysta wymalował... odsiecz Wiednia.

A inny znowu pan mniej dostojny, ale uchodzący za najtęższą głowę polityczną na przestrzeni między Białą a Podwołoczyskami, po zwiedzeniu tejże racławickiej panoramy, na zapytanie jak mu się podoba, powiedział:

— Owszem, bardzo.. bardzo... Szkoda tylko, że wybrano temat tak nieodpowiedni... tak niepolityczny.

O co chodziło? O to, że panorama wymalowaną została na wystawę lwowską, a wystawę tę mieli zwiedzać rozmaici wiedeńscy dygnitarze i arcyksiążęta — a nawet zapowiedziano przyjazd monarchy.

Wobec tego nasi wielcy dyplomaci zastanawiali się czyby panoramy nie zasłonić parawanem.

Tymczasem mniej bojaźliwi pokazali ją i dygnitarzom i arcyksiążętom — i monarsze.

I nikt z tych wysokich i najwyższych gości nie zauważył... niewłaściwości tematu.

W „Kronice“ Straży znajdą czytelnicy odezwę, w obronie polskiego charakteru choinek.

Odezwę tę rozesłaliśmy do wszystkich dzienników galicyjskich z prośbą, aby ją umieściły. Wydrukowały ją też prawie wszystkie pisma lwowskie. Z dzienników krakowskich nie raczyły jej umieścić jedynie: *Czas* i *Nowa Reforma*.

Zadziwiająca zaiste zgodność... przekonań politycznych.

Oba te pisma nie uznały za stosowne bronić czystości zwyczaju narodowego, — oba nie chciały się przyczynić do tego, aby powstrzymać wyrzucanie grosza na rzecz Prusaków za ich blaszane i szklane świecidełka.

Jakże odmiennie zachowała się prasa warszawska! Pomimo, iż nie wysłaliśmy naszej odezwy do żadnego z dzienników warszawskich, prawie wszystkie ją przedrukowały z dzienników galicyjskich. Przedruk jej znaleźliśmy nawet w pismach prowincyonalnych Królestwa Polskiego, jak np. w „Kuryerze Zagłębia“.

Tam bez prośby spełniono obowiązek — w Krakowie i uprzejma prośba nie przemówiła do patryotyzmu *Czasu* i *Nowej Reformy*.

Sekcya Pań lwowskiej Organizacyi bojkotowej rozesłała do dzienników listy następującej treści:

„Szanowna Redakcyo!

„Sekcya Pań na ostatniem posiedzeniu z dnia 4 b. m. uchwaliła usilnie prosić Szan. Redakcyę o nieprzyjmowanie ogłoszeń firm prusko-niemieckich, które, niestety, zawsze w naszych pismach bałamucą opinię publiczną“.

Dziwna rzecz, że panie nigdy się nie mogą pozbyć naiwności. Dobre, zacne panie, ale takie jeszcze naiwne. Im się zdaje, że się znajdzie choć jeden dziennik galicyjski, który zastosuje się do ich prośby. Ależ, złote panie, trzeba naprzód wydawców (a w części i redaktorów) przerobić na patryotów. A na tę przeróbkę i kopa lat nie wystarczy. *kb.*

Książki nadesłane do redakcyi.

Czterdzieści lat prześladowania Unii na Podlasiu. Kraków 1909, str. 100.

Broszura ta opowiada jak zdawien dawna żyła obok siebie, w doskonałej zgodzie i jedności, ludność polska i rusińska na Podlasiu. W r. 1865 rząd rosyjski pierwszy raz wystąpił, aby tę zgodę rozerwać. Objazd rz.-kat. biskupa Szymańskiego, którego ludność obu obrządków witała zró wnym zapałem, nie podobał się ks. Czerkawskiemu, mającemu władzę nad sprawami duchownemi. Biskupowi kazano objazdu zaniechać, a namiestnik Berg wydał do biskupów łacińskich rozporządzenie, aby księża zerwali wszelkie stosunki z ludnością unicką. Zaraz potem zniesiono łacińskie biskupstwo podlaskie, Szymańskiego wywieziono do klasztoru Kapucynów w Łomży. Następne rozporządzenia zakazywały stawiania i naprawiania krzyżów, wyjeżdżania księżom z parafii bez paszportów, zbierania się księży na odpusty, nawet rozsyłania opłatków na wigilię Bożego Narodzenia. Zaraz później zniesiono wiele obrzędów w kościele unickim, uważając je za naleciałości łacińskie (procesye Bożego Ciała, godzinki, koronki i t. d.). W dalszym ciągu rozpędzono zakonników z pięciu klasztorów bazyliańskich, a z kościoła Bialskiego zabrano relikwie św. Jozefata, męczennika zamordowanego przez schyzmatyków w Połocku.

To był początek. Dalszy ciąg jest już więcej znany, więc go streszczać nie będziemy. Niepodobieństwo zresztą byłoby streścić pokrótce dzieje prześladowań, które się rozpoczęły na dobre w roku 1867 a skończyły w r. 1875 zupełnem (co prawda powierzchownem) wytępieniem unii. Autorka opisuje dość szczegółowo te straszne przejścia wiernego unii duchowieństwa i ludu. Wylicza mordy, rzezie, wszelkiego rodzaju pastwienie i znęcanie się nad Unitami. Przybyło kościołowi Chrystusowemu tysiące męczenników i to nie w czasach barbarzyńskich i w krajach pogańskich, lecz w cywilizowanym wieku XIX. w państwie... chrześcijańskiem!

Przyjdzie czas, w którym ludzie wierzyć nie będą, aby coś podobnego było możliwe. Ale my, niestety, byliśmy świadkami tych okropnych czynów, które ustały dopiero przed kilku laty, kiedy ogłoszono w Rosyi tolerancyę. Dziś prześladowanie zaczyna się na nowo pod inną formą: oderwanie Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego niema nic innego na celu, jak utrzymać unitów przy narzuconym prawosławiu, a tych, co przeszli na katolicyzm powoli zmusić tak zwanymi środkami administracyjnymi do porzucenia wiary ojców.

We właściwą więc porę przychodzi to opowiadanie. Lud nasz, dla którego głównie ta broszura jest przeznaczona, mało jest obeznany z temi dziejami męczeńskiemi. Niech więc ich opis idzie w masy ludowe, niech bohaterstwo unitów będzie dla nich przykładem jak należy bronić wiary i narodowości.

Broszura ta powinna się znajdować w każdej czytelni ludowej. Przyda się ona i inteligencyi, zwłaszcza najmłodszej, która zaledwie coś nie coś wie o tej karcie z martyrologii narodowej. *kb.*

Zygmunt Michałowski. Do celu. Warszawa. Księgarnia Sadowskiego. Str. 202.

Są to „luźne kartki z historyi duszy“ młodego literata i poety. Streszczać ich nie można, bo są „luźne“, bo stanowią rodzaj dziennika wrażeń. Mamy tu pierwsze głody literackie i pierwsze tryumfy, — nastroje, szamotania się i szukania własnej drogi — pożądania, miłostki i miłosne ekstazy — mamy zniechęcenia i szalone pragnienie życia, — mamy knajpę, przechadzki po plantacyach krakowskich i obrazki małomiejskie. Są dobrze podpatrzone typy kobiece, trafne obserwacye życiowe — jest „para używanych ale w bardzo jeszcze dobrym stanie poglądów na świat“ (czemu nie: światopoglądów? — wszak to wyraz taki modny i taki... brzydki)... A ponad tem wszystkiem unosi się pustka i brak celu życia.

Rzecz napisana z rozmachem i talentem. Prócz dobrych obserwacyi życiowych, jakie już zaznaczyliśmy, mamy żywe, cięte, często dowcipne dyalogi. Styl barwny i giętki, dobrze uwydatniający wrażenia i nastroje.

Ale jeszcze jest coś, do czego u młodych autorów nie jesteśmy przyzwyczajeni. Oto przy samym prawie końcu „luźnych kartek“ znajdujemy taką rozmowę ich bohatera ze staruszkiem profesorem literatury:

„Niech pan nie myśli — mówił profesor — że stoję w obronie starców; nie — sam czuję na sobie najlepiej ciężar starości. Chodzi mi tylko o to, że wy — młodzi, który zajmujecie nasze miejsca, nie zawsze jesteście godnymi następcami. Bo niech pan tylko rozważy. Mówi się, że młodość ma swoje prawa — i słusznie. Tylko nie posuwajcie tych praw do granic bezprawia. Można, czasem nawet trzeba koniecznie także pamiętać o tych placówkach, które my zostawiamy dla was pustemi. A tymczasem... Wy wszyscy macie jedną kardynalną wadę: chaos, chaos i jeszcze raz chaos. Sami nie wiecie, za co się chwycić. Wasze życie koncentruje się całkowicie na zewnątrz; za mało wnikacie we własne dusze; a jeżeli czasem który z was zagłębi się w sobie, to tylko po to, by ułożyć groźną tragedyę rozdźwięku — nic więcej. Czyż nie prawda?

Tym razem Komecki z całą bezwzględnością dla samego siebie przyznał profesorowi racyę.

— A widzi pan... I to jest nasza wyższość nad wami. Brak nam sił; z każdym dniem, z każdą niemal godziną czujemy, że jesteśmy coraz słabsi — to prawda. Ale posiadamy świadomość celu, do którego dążyliśmy przez całe życie i dążyć będziemy do ostatniej godziny. A wy tego celu nie macie...

Komecki siedział wpatrzony w białego starca; słuchał w skupieniu jego słów, a każde z nich padało mu w duszę ciężkim kamieniem prawdy i wyrzutu.

— Marnujemy życie, marnujemy młodość, panie profesorze... Marnujemy...

Staruszek spojrzał nań z pod siwych krzaczastych brwi.

— Więc?...

Komecki nie zrozumiał pytania.

— Logika panie; gdzież jest logika?!... Przyznajecie się do marnotrawstwa, do niszczenia młodych sił. A gdzież jest wobec tego wniosek, jedyny możliwy logiczny wniosek?

Komecki mimowoli spuścił oczy. Imponował mu ten stary, stojący nad grobem profesor.

— A widzi pan... A przecież to takie wyraźne. Nie marnować, nie niszczyć! Czyż nie prawda?...

I ciągnął dalej nie czekając odpowiedzi:

— Niech pan nie myśli, panie Komecki, że ja ciebie uważam za człowieka wykolejonego, przeciwnie — w tobie widzę drzemiącą siłę, którą tylko trzeba obudzić, trzeba poruszyć, aby później działała sama. I tę moc właśnie staram się obudzić w tobie. Bo... bo uważam ciebie za mego przyjaciela... I chciałbym...

Nagłym ruchem Komecki chwycił profesora za rękę i w milczeniu przycisnął ją do ust. Był to synowski pocałunek szacunku i wdzięczności“.

...Z takim ustępem u naszych „młodych“ pierwszy raz się spotykamy.

Komeckiego „pochłonęła praca“. Przypuszczać należy, że stanie u celu. *kb.*

Zofia Bukowiecka. Jak Polska za Jagiellonów rosła od morza do morza. Gebethner i Wolff. Warszawa 1910.

Jest to druga część popularnej historyi polskiej, którą, jedna z najserdeczniejszych autorek współczesnych dla młodzieży, — przejęta tradycyami Hoffmanowej, Pruszakowej, Borkowskiej, Zaleskiej — Zofia Bukowiecka rozpoczęła, a część pierwszą J a k P i a s t o w i e b u d o w a l i P o l s k ę przed dwoma laty wydała.

Ten złoty okres dziejów naszych w wykładzie Bukowieckiej wyszedł może jeszcze żywiej niż pierwszy. Pomimo poziomu popularnego posiada wiele pragmatyzmu historycznego i daje czytelnikom nie tylko historyę kraju rodzinnego, lecz i wiele cennych wskazówek, jak z tej historyi korzystać i z niej się uczyć, a to w najzacniejszym, szerokim duchu, przepojonym miłością Boga i ojczyzny, cechującym autorkę. Skuteczne też zawiera ta książka antydotum przeciwko tym, którzy wśród młodzieży polskiej usiłują wzbudzić niechęć do przeszłości swego narodu, wywlekając i podkreślając zaciekle złe i błędne strony jego rozwoju i urządzeń, jak gdyby te złe strony istniały wyłącznie tylko w przeszłości Polaków.

Stanisław Ostrowski. Z dziejów pułku. Z rysunkami St. Bagieńskiego. Gebethner i Wolff. 1910 Str. 327.

Są to epizody oderwane z dziejów pułku XII piechoty Księstwa warszawskiego. Mamy święcone Dąbrowszczyków pod Gdańskiem, obronę Torunia, zdobycie szańców pod Karczewem, rewię w Warszawie itd. aż do ostatniej walki pod Lipskiem, gdzie z walecznego pułku pozostało dwu żołnierzy. Epizody te, oparte w znacznej części na pamiętnikach Białkowskiego, są nierównej wartości. Jedne tryskają życiem, inne są zbyt suche. Charakterystyka czasów i ducha ożywiającego nasze wojsko wogóle dobra.

Język bardzo poprawny, styl przeważnie piękny, ale czasem za kwiecisty. Oto naprzykład: „Złotogłów kaczeńca i blada purpura anemonów (anemony mają polską nazwę: zawilec lub sasanka) okrywa zieloność nadrzecznych łęgów, jak delikatny rumieniec wdzięku

niewysłowionego Czarne sokory... stoją w szatach weselnych, jak szczęsne narzeczone, roniąc w powietrzu aromat i balsam, który obłokiem niewidzialnym otacza ich zawinięte głowy, odurzone od szczęścia..." Wątpić należy czy taka „poetyczność" będzie zrozumianą przez młodziutkich czytelników.

W każdym razie, wśród bardzo nielicznych tegorocznych wydawnictw „gwiazdkowych", książka p. Ostrowskiego należy do lepszych.

Arnold Galopin. Doktór Omega, fantastyczne przygody na Marsie. 10 rysunków. Warszawa. Gebethner i Wolff 1910. Str. 237.

Jest to fantazya na wzór Verne'a. Niestety niesłychanie maleńka szczypta wiadomości naukowych tonie w morzu banialuk. Może być, że młodzież będzie to czytała z zajęciem, ale jaka z tego korzyść? Ani mądrzejszą, ani lepszą po przeczytaniu nie będzie. Szkoda czasu i atłasu.

KĄCIK JĘZYKOWY.

Pan B. Baranowski w artykule swoim o niemczyźnie w magistracie (nr. 16 „Straży") zaznaczył, że wskutek naszej grzeczności, która nam każe pisać po niemiecku tam, gdzie nie potrzeba, w centralnym zarządzie pocztowych Kas Oszczędności w Wiedniu jest tylko 1 urzędnik Polak, a było ich czterech. Dzięki temu zapewne pocztowa K. Oszcz. urąga językowi naszemu, bo inaczej jak urąganiem nie można nazwać jej okólnika podającego:

„Sposób uiszczania podatków i nalżeytości w Clearinobrocie c. k. pocztowej kasy oszczędności".

Oto próbka języka i budowy zdań w tym okólniku:

„Ponieważ, jak doświadczenie uczy, wielu posiadaczy konta wpłaty na dokumenty złożenia w urzędzie pocztowym w gotówce uskutecznia, zwraca się uwagę na to, że dla posiadaczy konta jest o wiele wygodniej i korzystniej, jeżeli się wpłaty na te dokumenty złożenia zapomocą czeku poczyni. W tym celu należy najpierw dokument złożenia wedle druku wypełnić. Wypełniony dokument złożenia należy dołączyć do czeku, który zawiera następującą uwagę rozporządzającą: „Do przypisu na konto . . . . wedle przyległego dokumentu złożenia".

„Gdy równocześnie mają nastąpić zapłaty przy kilku kasach i dlatego więcej dokumentów złożenia musi być wystawionych, to i w tym wypadku wystarczy jeden czek, jeżeli do dokumentów złożenia dołączy się spis, w którym będą uwidocznione kasy, na rzecz których wpłata jest uskuteczniona, kwoty do tych kas wpłacić się mające wedle dokumentu złożenia jak niemniej suma tych kwot. Na ten wypadek ma uwaga rozporządzająca na czeku opiewać: „Na przypis wedle przyległych dokumentów złożenia i dołączonego spisu".

---

31 błędów w liście panny Władki.

Otrzymaliśmy kilka „rozwiązań", jeżeli tak można nazwać, „konkursu" na wynalezienie 31 błędów gramatycznych i uchybień logicznych, zawartych w liście panny Władki, umieszczonym w 19 nrze „Straży Polskiej".

Niepodobna nam, dla braku miejsca, podawać tych wszystkich rozwiązań, poprzestajemy więc tylko na jednem, nadesłanem nam przez wybitnego pisarza, chlubnie odznaczającego się w swych pracach czystością języka.

Musimy jednak powtórzyć list p. Władzi, gdyż autor rozwiązania podaje do niego odsyłacze.

Kochana Zosiu!

List Twój odebrałam[1]) onegdaj o siódmej wieczór[2]). Nie mogłam Ci odpisać zaraz, tak, jak prosiłaś, bo kolej[3]) stąd odchodzi przed ósmą. Wczoraj znów było wielkie zapuszczanie[4]) podłóg; ani gdzie usiąść. Że zaś przysłowie mówi: „Lepiej późno jak[5]) nigdy", więc piszę dziś, odpowiadając Ci na wszystkie Twoje pytania.

U nas nic tak dalece[6]) nowego. Ciocia Klocia już zdrowsza, wczoraj nawet wstała z łóżka, natomiast nasz praktykant, p. Józef, położył się na influenzę[7]). Pogoda ciągle szkaradna[8]), jakby w marcu. Wystaw[9]) sobie, dotąd[10]) ani razu nie jeździłam konno. Naturalnie, i o wycieczkach do lasu nie mogło być mowy[11]), chociaż, co prawda, nie bardzo ja[12]) lubię chodzić piechotą[13]). Kończy się na tem, że większą połowę[14]) dnia spędzam przy fortepianie.

Okropnie kasowałam[15]) się na zapowiedziany teatr w naszem miasteczku, okazało się jednak, że trupa nędzna, aż strach[16]). Jeden tylko monologista jest tam bardzo zabawny. Słuchając jego dowcipów, myślałam, że skonam ze śmiechu). 17

Mieliśmy tańcującą herbatkę[18]) u p. p. Karolów[19]). Moja siostra Frania pierwszy raz debiutowała[20]) w długiej sukni. Bawiliśmy się doskonale. Tańczyłam bardzo wiele. Poznałam pana Henryka Z. Przystojny, młody człowiek, elegancki, w każdem słowie zdradzający[21]) wykształcenie. Jakże on się różnił od drugich w tem towarzystwie!

No i co[22]) chcesz więcej — z prowincyi?

Czytałam w pismach o śmierci naszego wspólnego profesora literatury[23]), Fiszera. Pogrzeb jutro. Żałuję, że nie znajdę się[24]) pomiędzy tymi, którzy pospieszą oddać mu ostatnią przysługę.

Donieś mi, gdzie[25]) wybieracie się na lato?

Na tem kończę, ściskając cię z całego serca[26]).

Twoja Władka.

P. s. Szanownej Mamie załącz[27]) moje ukłony.

P. s. Ale ale, napisz mi, wiele[28]) kosztują pończochy jedwabne za kolana[29])? Papa[30]) przywieść miał z Warszawy i zrobił[31]) mi zawód.

---

[1]) Można odebrać to, co się dało, a list się otrzymuje od kogoś, a więc „list Twój otrzymałam". [2]) Na oznaczenie czasu używa się przypadku szóstego, a więc o siódmej wieczorem. [3]) Kolej nie odchodzi, odchodzić ani przychodzić nie może, natomiast pociąg odchodzi, a raczej odjeżdża. [4]) Byłoby smutno, gdyby podłogi zapuszczano, bo nastałyby w domu wielki brud i nieporządek. Zapuszczać tyle znaczy, co zaniechać, zaniedbać. Podłogi się zaprawia. [5]) Lepiej późno, niż nigdy. [6]) Jeżeli może być coś „dalece" nowem, to zapewne i „blizko nowem" być może. Nie ma w tem właściwie błędu, wyrażenie dość powszechne, ale nielogiczne i nie swojskie. Naleciałość niemiecka. Powiedziećby należało „nic tak bardzo nowego". [7]) Pan Józef nie mógł położyć się na influenzę, boć na influenzy leżeć nie można. Pan Józef położył się chory na influenzę. [8]) Pogoda nie może być szkaradna, jak słota nie może być pogodna. Należało powiedzieć: „mamy słotę", „brak pogody". [9]) Co sobie ma panna Zosia wystawić? Wyrażenie wprost niedorzeczne. Należałoby powiedzieć: „Wyobraź sobie". [10]) „Dotąd" oznacza miejsce, a nie czas, a panna Władka nie o miejscu w liście wspominała, miejsca wyrazem „dotąd" w liście wskazać nie mogła. Na oznaczenie czasu należało powiedzieć „dotychczas". [11]) Dlaczego nie „mogło być mowy?" Wszakże mówić o wycieczkach nikt chyba nie zabraniał? Zapewne wycieczki były niemożebne. Przytem i to jeszcze nadmienić wypada, że ten zwrot „o tem nie może być mowy", trąci germanizmem, a u nas mawiało się po prostu „o tem ani mowy". [12]) Zupełne zbyteczne owo „ja", bo już końcówka czasownika oznacza osobę. Wtedy byłoby potrzebne, gdyby panna Władka chciała z naciskiem wyrazić się, iż ona lubi, a ktoś inny nie lubi. [13]) Nie jest to błąd, wyrażenie utarte, wcale dawne, ale bądź co bądź nielogiczne, boć to rzecz oczywista, iż nie można inaczej chodzić, jeno piechotą. [14]) Połowa nie może być ani większa ani mniejsza. Należało powiedzieć „dłużej, niż połowę" dnia. [15]) Tego wyrażenia wcale nie rozumiem i wątpię, czy który Polak zrozumieć je zdoła. [16]) Wyraz „trupa" zagnieździł się, rozpowszechnił, ale nie bardzo ponętny. Cóż ten strach oznacza? czem owa „trupa" straszyła? Posługiwanie się owym strachem w mowie potocznej bardzo powszechne, błędne nie jest, ale bezmyślne, jak dawne „mości dobrodzieju", „panie tego". Czyż nie właściwiej powiedzieć: „aktorzy nędzni". [17]) „Konanie ze śmiechu" rozpowszechnione bardzo, zwłaszcza pośród pokojówek, lokai i wogóle między osobami, które nie bardzo na to zważają, co mówią. Nie ma w tem żadnego błędu, ale wyrażenie niemiłe przez to, że spaja wesołość ze śmiercią. Wystarczało może powiedzieć: „bardzo się uśmiałam". (Pił, upił się; bił, ubił; jechał, ujechał; również i śmiał się, aż się uśmiał). [18]) Zabawna to być musi owa „tańcująca" herbata. Skoro herbata tańczy, to może zobaczymy tańcującą kawę, tańcujące piwo. A może też zaczną tańcować szynki, kiełbasy, pierogi, kluski i t. d. Była to zapewne zabawa taneczna przy herbacie. [19]) Nie wiadomo czy owa zabawa była u pp. (panów) Karolów, czy też u pp. (państwa) Karolostwa. Jest to niby błąd gramatyczny, ale wybaczyć go można. [20]) Ukazała się w długiej sukni. [21]) Niegodziwiec! dopuszczał się zdrady względem swego wykształcenia, sprzeniewierzył mu się i zapewne był szorstki, prostacki? Ej, nie. On „objawiał", „okazywał" wykształcenie. [22]) Czego chcesz. [23]) Profesorem „literatury" nikt chyba nie był i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Pan Fiszer był zapewne profesorem „historyi literatury", boć literatury nauczać i nauczyć nie podobna. [24]) Znaleść można rzecz zgubioną, a panna Władka zapewne się nie zgubiła i znaleść się nie mogła. Może chciała powiedzieć: „żałuję, że „nie będę", że „nie zdołam być", między tymi i t. d. [25]) „Gdzie" oznacza miejsce, a nie kierunek, a więc „dokąd" się wybieracie. [26]) Utrwalił się germanizm „vom ganzen Herzen" i jest tak powszechny, że razić przestał. Wyrażenie nielogiczne, bo jak można ściskać „ze serca", a choćby i „sercem"? Można ściskać serdecznie. [27]) Panna Władka mogła załączyć ukłony, ale panna Zosia uczynić tego nie zdoła. A więc: „Mamie dołączam ukłony". [28]) Skoro się pyta o cenę, była zapewne ciekawą ile kosztują, a skoro ceny nie znała, nie mogła orzekać, że są drogie, że „wiele" kosztują. [29]) Co to jest? Chyba sięgające powyżej kolan. [30]) Nie błąd, ale głupie wyrażenie. Przypomina wiersz Słowackiego: „Przeto pawiem narodów jesteś i papugą". Czyż nie mamy swojskich: „ojciec, ojcuś, tato, tatuś, ojczulek, tatuńcio i t. d."? [31]) „Zrobić" znaczy: wykonać coś z jakiegoś materyału. Szewc robi buty ze skóry, kowal robi (kuje) podkowy z żelaza i t. d. Zawód można wyrządzić. „Wyrządza się": przykrość, krzywdę, zawód, boleść podobnie jak „sprawia się": przyjemność, niespodziankę, radość i t. d. ale tego wszystkiego nigdy się nie „robi". Dobrowolnie okradamy język i obfitości wyrażeń, zapominając o „wyrządzaniu" - z „sprawianiu", a posługując się wzorem Niemców „robieniem".

Cz. P

O innych „rozwiązaniach" wspomnimy pokrótce w następnym numerze.

Rozmaitości.

Podwołoczyska 8 grudnia b. r. Staraniem miejscowego komitetu, na czele którego stali pp. Świderski i Piątkowski, odbył się tu tłumny wiec „Polskiej Ligi Narodowej" w połączeniu z referatem delegata lwowskiej „Organizacyi bojkotowej" w szczelnie zapełnionej sali Sokoła. Prócz licznej inteligencyi przybyli na wiec włościanie z Dorofijówki, Orzechowca, Medyna, Mysłowy i Rossochowańca.

Referat o ucisku narodowym na ziemiach polskich i o potrzebie ogólnej organizacyi wszystkich Polaków bez różnicy płci, wyznania i przekonań politycznych, dla kulturalnego i ekonomicznego rozwoju, referował delegat Polskiej Ligi Narodowej p. Bogdan Krzysztofowicz. Między innymi podniósł referent ten wielki błąd naszego społeczeństwa, że rozdrabniając swe siły na drobne związki o pokrewnych sobie celach, nie umiało naporowi wrogów przeciwstawić jednolitej organizacyi moralnej i materyalnej. Do wytworzenia takiego Związku wyższego rzędu dąży „Straż Polska" w Krakowie i „Polska Liga Narodowa" we Lwowie. Po krótkim referacie p. Pręgowskiego ze Lwowa o bojkocie towarów pruskich, uchwalono jednomyślnie i z zapałem odpowiednie rezolucye. W dyskusyi wniósł włościanin Bieniowski gorący protest przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny, co przyjął wiec burzą oklasków. Na zakończenie wiecu podniósł jeszcze raz przewodniczący ks. Bożyński istotną potrzebę wspólnej zorganizowanej pracy nad odrodzeniem narodu, poczem odśpiewano w uroczystym nastroju pieśń legionów. Dowodem, z jak wielkiem zrozumieniem spotkała się się tu na kresach narodowa działalność Ligi jest okoliczność, że zaraz na miejscu wpisało się na listę członków kilkanaście osób i utworzono natychmiast stały komitet. Kilkadziesiąt książeczek Organizacyi bojkotowej rozkupiono w okamgnieniu.

Licytacya na pokrycie kary. Ks. Majewski w Mińsku gub., skazany został w drodze administracyjnej na 300 rb. kary za to, że „bez należytego pozwolenia urządził procesyę z Mińska do Wilna".

Tymczasem, jak wiadomo, ks. M. z Mińska do Wilna żadnych procesyi nie urządzał, a tylko porozumiał się z parafianami dla odbycia wycieczki extra pociągiem do Wilna, w celu urządzenia tamże procesyi do Ostrej Bramy i do Kalwaryi, na co znów otrzymał osobiście od gubernatora wileńskiego zupełnie oficyalne pozwolenie.

Odmowę zaskarżył ks. Majewski do ministra spraw wewnętrznych i do senatu i zapłaty kary odmówił...

Tymczasem jednak ruchomości zostały wystawione na sprzedaż.

Oto, jak opisuje *Kuryer litewski* ową licytacyę:

Od godziny 12-ej w południe zaczęli schodzić się „licytanci", których było coś ze 7 osób.

Kiedy przyszedł pomocnik komisarza cyrkułu i rzucił okiem na zebranych, widocznie niedostatecznie ocenił ich sprawność płatniczą, bo poszeptawszy ze

stójkowym, poczekał czas jakiś, aż kadry licytantów wzmocniły się przez jednorazowe przybycie 5 czy 6 żydów, najwidoczniej oderwanych chwilowo od codziennych zajęć... Jeden z nich był cały obsypany mąką — drugi obcierał ręce z jakiejś mazi... Spoglądają oni nieśmiało na wszystkie strony i zbici w kupkę oczekują, co z tego wyniknie? Widać jednak, że ci gentlemani, obyci napewno z licytacyami, nierównie lepiej niż każdy z nas obecnych tam, pojmują, że to jakaś inna licytacya i z min ich widać, że na zyski niebardzo rachują.

Pomimo to, czy z przyzwyczajenia, czy też „na wszelki wypadek“ — zaczynają oglądać przedmioty opisane, robią „fachowe“ uwagi i wreszcie zawiązują maleńki syndykacik...

— Zegar stołowy, rb. 10 — kto da więcej? — ogłasza przedstawiciel władzy.

Zegarek niewielki, wart około 25—30 rubli. Żydzi go oglądają, opukują, osłuchują i ofiarowują o pół rubla więcej.

Inni licytanci podbijają cenę — niewiele, po 10, 20 groszy. Czasu mają dosyć.

Ale, o dziwo, pomału cena dochodzi do 30, 40, 50 rubli.

— Herato? Co to jest? To żarty, czy co? — pyta jeden z obywateli starozakonnych.

Inni machają rękami i jeden po drugim wynoszą się. Najcierpliwszy doczekał końca, ale zobaczywszy, że zegar został nabyty za rb. 75, oburzony i zdumiony odchodzi...

— Cóż wy myślicie? — rzuca mu na odchodnem licytant chrześcijanin. — Czy to wy tylko macie prawo urządzać „hewry“. Teraz nasza kolej. Zapłacimy choć dziesięć razy tyle, ale wam pokażemy figę...

Śmiech ogólny i ostatni starozakonny licytant wychodzi srodze skonfundowany. W sieni dochodzi go jeszcze bolesna obietnica:

— Jak waszemu rabinowi będą rzeczy sprzedawali, to my przyjdziemy...

Licytacya trwa dalej...

Grosze po groszu — dziesiątka po dziesiątce i ścienny zegar wartości rb. 30 — przechodzi do rąk (nb. nie zeszedłszy ze ściany) drugiego licytanta za rb. 223.

Ale brakuje do całej sumy złotówki.

— Chyba fortepian puścić?

Nabywca zegara jednak dopłaca brakującą sumę i kładzie na stole banknot 500-rublowy.

Przedstawiciel władzy nie może zdać reszty — na całej Złotej Górze nikt prawie nie zmieni — ale nareszcie ktoś z obecnych posiada moc bilonu i miedziaków, więc kwestya szczęśliwie została zakończoną i pomocnik komisarza po małej godzinie obliczenia monety uniósł z plebanii całkowitą karę w sumie rb. 300 plus rb. 3,59 na koszta publikacyi.

Sprawiedliwości tedy stało się zadość.

Ale, niestety, nabywcy zegarów ani rzeczy nie mogli sobie przypomnieć, kto co kupił, wobec czego zegary pozostały na swych dawnych miejscach.

Na Litwie i Rusi. Donoszą z Wilna: Większa część 200-tysięcznej ludności Wilna posługuje się przeważnie językiem polskim; około 50% używa żargonu żydowskiego, posiadając jednocześnie znajomość języka polskiego. Język białoruski reprezentowany jest liczniej od litewskiego i żmudzkiego, którymi się posługuje zaledwie około 2 tysięcy osób.

Próbowali ubiegłej zimy Litwini zutrakwizować liczne a piękne kościoły wileńskie, lecz zapędy litwomańskie, po przeprowadzeniu statystycznego spisu ludności wykazały, że te uroszczenia nie mają żadnej podstawy. Dostali na swój wyłącznie użytek kościół św. Mikołaja i na tem się w sposób polubowny sprawa skończyła. Wogóle usiłowania litwomanów przyniosły nader marne, właściwie żadne rezultaty. Gazeta litewska *Vilniaus Zinios*, wydawana przez inżyniera Wilejszisa przestała istnieć dla braku prenumeratorów.

Od lat paru grasować u nas zaczęli mankietnicy, lecz bez sukcesu. Ludność bowiem wileńska w swej olbrzymiej większości jest fanatycznie wrogo usposobioną względem tych nader podejrzanych reformatorów religijnych. Na nabożeństwie „Kozłów“ zbiera się publiczności nader mało, od 50 do 75 osób. Wśród uczęszczających do kaplicy przeważają Rosyanie — żołnierze, oficerowie i urzędnicy.

Żydowski dom akademicki. We Lwowie otwarty został akademicki dom żydowski z d. 1. października. Jak opisuje *Tygodnik*, fasada trzymana jest w stylu maurytańskim, pomysłu radcy budownictwa Alfreda Zacharyewicza, a wnętrze, budowane według systemu korytarzowego, mieści dwie wielkie sale i kilkadziesiąt pokoi mieszkalnych. W instytucyi tej znajdzie pomieszczenie stu akademików. Ten maurytański pałacyk, jak tego nie ukrywają jego mieszkańcy, jest widocznym znakiem separatyzmu żydowskiego. Wobec tego zasługuje na uwagę, że w uroczystość otwarcia jego uczestniczyli wiceprezydent rady m. lwowskiej Aschkenaze i wiceprezydent krakowski Sare. We Lwowie powstała taka burza z tego powodu, że p. Aschkenazy zrezygnował „ze stałego urzędowania“ jako wiceprezydent.

Prośba zesłańca. Z Krzemieńczuga, w gub. połtawskiej odebraliśmy list od zesłańca z r. 1867-go p. Kalińskiego, ostatniego z synów ś. p. ks. Jana Mikołaja Kalińskiego, biskupa nominata b. dyecezyi chełmskiej, obrządku wschodnio-katolickiego. Autor listu, p. Szymon Kaliński, gdy ojciec jego, biskup Kaliński, deportowany został w r. 1867 do Wiatki, znajdował się w tym czasie na 1-ym kursie teologicznym w seminaryum chełmskiem. Usunięty stamtąd wraz z innymi, przewieziony został etapem do Warszawy i osadzony w klasztorze Bazylianów, skąd z rozporządzenia ks. Czerkaskiego wyprawiono go na pobyt bezterminowy do głębokiej Rosyi. W ciągu lat 39 zamieszkiwał zesłaniec w różnych miejscowościach, zarabiając ciężką pracą na chleb, dopóki mu sił starczyło. Gdy w roku 1905 tym nastąpiło ogłoszenie tolerancyi religijnej, odzyskał wolność i możność powrotu do kraju, nie może jednak z upragnionej okazyi korzystać dla różnych powodów i dlatego występuje z prośbą, którą wyraża w sposób następujący:

„W gorącej chęci powrotu do kraju — pisze p. Kaliński — a niemając żadnych środków, oraz nikogo z rodzeństwa, ani też znajomych, którzyby mię mogli przyjąć, udaję się do wszystkich współczujących niedoli i proszę ze łzami w oczach o pomieszczenie mnie gdziekolwiek, przy jakiemkolwiek zajęciu za stół i mieszkanie bardzo skromne, bylem nie umarł na obcej ziemi z głodu, zmartwienia i tęsknoty za krajem i swoimi. Żadnych nałogów nie posiadam. A więc szanowni bracia i siostry zechciejcie pomódz mi w odszukaniu jakiego zajęcia choćby najskromniejszego, z sumiennością się wypłacę. Na drogę środki może znajdę. Mam lat 64. Jestem mocno przekonany, że Bóg Najwyższy nie zapomni temu, kto zechce pomódz starcowi osamotnionemu. Adres. Krzemieńczug, gub. połtawska urzędnik poczty Priadko dla Kalińskiego“.

Może ogłoszenie tych słów przyczyni się do ziszczenia nadziei nieszczęśliwego zesłańca!

O Straży Polskiej.

W zeszycie grudniowym *Przeglądu Powszechnego* znajduje się obszerny arkuszowy artykuł, przedstawiający cele i działalność Straży Polskiej.

Najpopularniejszy warszawski kalendarz J. Ungra zamieścił artykuł „Straż Polska“, w którym kładzie główny nacisk na znaczenie wycieczek Straży do Warszawy.

Cały fejleton tygodniowy „Biesiady literackiej“ (nr. 41) poświęcony został zestawieniu przez nasz organ w nrze 18 artykułów p. Grossekowej o „Domie hetmana“ Żeromskiego i Kurandy o ucisku ludu w Niemczech.

„Głos Narodu“ w obszernym artykule p. t. „Dobra myśl“ wita z uznaniem projekt połączenia się *Ligi Narodowej* ze *Strażą Polską*.

Lwowski dwutygodnik „Rodzina i Szkoła“ przedrukował ze „Straży“ artykuł A. E. Balickiego „Na czasie“ (nr. 14), nie racząc nawet podać źródła.

Kronika „Straży Polskiej“.

Na posiedzeniu Zarządu głównego uchwalono podjąć inicyatywę wzniesienia w Krakowie pomnika Juliuszowi Słowackiemu. „Straż“ posiada już na ten cel kwotę 576 K 81 h (patrz niżej w spisie składek). Prócz tego prezydyum Komitetu jubileuszowego zawiadomiło nas, iż złoży na ręce Straży 590 K pozostałych w kasie Komitetu po strąceniu wszelkich wydatków jubileuszowych. Zarząd postanowił utworzyć osobny Komitet obywatelski, któryby w połączeniu ze Strażą Polską zajął się urzeczywistnieniem projektu.

Po Nowym Roku zwołany zostanie wielki wiec Straży Polskiej w sprawach narodowych.

Staraniem „Koła akademickiego“ Straży odbywa się dalej zwiedzanie fabryk i zakładów przemysłowych. W grudniu liczne grono osób zwiedziło fabrykę witraży Żeleńskiego, fabrykę mydła Rożnowskiego i wielką piekarnię maszynową „Sport“.

Sekcya ekonomiczna „Straży Polskiej“ uchwaliła *a*) rozesłać kwestyonaryusz do fabryk w sprawie ułożenia księgi przemysłu galicyjskiego, *b*) wydać odezwę do młodzieży w sprawie poparcia przemysłu narodowego, *c*) wydać odezwę w sprawie utrzymania charakteru polskiego w tradycyjnym zwyczaju choinek.

Odezwa ta, wydrukowana w dziennikach i na osobnych kartkach do rozdania, brzmi jak następuje:

„Jednym z najpiękniejszych naszych prastarych zwyczajów jest „drzewko“ (choinka).

Wprawdzie zwyczaj ten istnieje i gdzieindziej, ale skądkolwiek ród swój wiedzie (uczony Brückner twierdzi n. p., że go Niemcy od nas przejęli), stał się on nawskroś naszym, narodowym. Choinka cieszyła nas, kiedy byliśmy dziećmi, radowała naszych rodziców, naszych dziadów i nasze babki w latach ich dzieciństwa. Boże Narodzenie bez choinki straciłoby dla dzieci połowę uroku, — a nawet rodzice czuliby pewien brak, gdyby nie widzieli radosnych twarzyczek swoich maleństw, śpiewających przy drzewku kolendy.

Wszędzie jednak „drzewko“ nosi, a przynajmniej nosić powinno odrębny charakter. U nas wieszano w jego środku małą szopkę: stajenkę z Najświętszą Panienką, Boską dziecinę i ze św. Józefem. U stóp choinki składano „prezenty“ gwiazdkowe: zabawki, książeczki; niektóre wieszano na różowych wstążeczkach. A całe drzewko uginało się od pierników, orzechów złoconych, jabłek, specyalnych cukierków choinkowych i innych przysmaków.

Jedyną bezwartościową ozdobą drzewka były girlandy, plecione z kolorowego papieru.

Dziś choinka straciła swój dawny charakter. Nie jest to już drzewko obciążone przysmakami i kryjące w swej głębi podarunki, ale jakaś wystawa szklanych świecidełek, wagonami z Prus sprowadzanych.

Dawniej „choinka“ była spodziewaną „niespodzianką“. Rodzice przygotowywali ją w tajemnicy. Dzieci drżały z niecierpliwości, oczekując końca uczty wigilijnej, po której otwierały się drzwi do saloniku i oczom „milusińskich“ ukazywała się jarząca od świateł choinka. Co to było uciechy! Z jaką ciekawością badano, co wisi na gałązkach. Dziś dzieci same biorą udział w ubieraniu choinki świecidełkami — niespodzianka ustała, tajemnic żadnych niema.

Jest to rzeczywiście choinka niemiecka, a niemiecka tem więcej, że te wszystkie różnokolorowe kulki, srebrne sznury, wisiorki, anielskie włosy i t. d. są dziełem przemysłu niemieckiego. Bez przesady można powiedzieć, że parę kroć sto tysięcy koron dajemy corocznie w ten sposób Prusakom. Drogi więc haracz opłacamy za naśladowanie Niemców i odjęcie choince cech rodzimych.

Odzywamy się zatem z gorącą prośbą do rodziców, aby oczyszczali „drzewko“ od świeżych naleciałości niemieckich. — Niech choinka na nowo stanie się drzewkiem rodzajnem, przynoszącem dary dzieciom naszym, a przestanie być szychem, patrokatą grą kolorów. Niech radość dzieci łączy się z zadowoleniem rodziców, że nie wsparli swym groszem naszych najserdeczniejszych. Prosimy o spełnienie — obowiązku“.

(Dodajemy ze swej strony, że bardzo ładne i tanie ozdoby choinkowe, a mianowicie kolorowe koszyczki z łyka wyrabiają w Olesku. Posiada je Bazar krajowy w Krakowie.)

Z powodu braku miejsca dalszy ciąg „Kroniki“ odkładamy do następnego numeru.

Sprostowanie.

Otrzymaliśmy list następujący:

W numerze 19 „Straży Polskiej“ pojawił się artykuł p. t. „Uwagi“, w którym bezimienny autor zarzucił mi, jakobym miał styczność z wydawcami pruskimi „Nick Carterów“, „Buffalo Billów“ i „Scherloczów Holmesów“, wyrządzając mi przez to niesłychaną krzywdę albowiem: 1) Z wydawcami, o których mowa w inkryminowanym artykule, nie mam i nie miałem nic wspólnego, o czem świadczy choćby tylko ten fakt, że wydawałem nowele Conana Doyle'a tłumaczone wprost z oryginału angielskiego, co poświadczy przed sądem tłumacz. 2) Utwory te drukowałem we Lwowie w drukarni Udziałowej, jak to zresztą na każdym egzemplarzu uwidoczniono. 3) Wydawałem nowele w formacie książkowym — bez ilustracyi. Wydawnictwo moje zatem nie jest w niczem podobne do wspomnianych w inkryminowanym artykule. Autor artykułu najwidoczniej w ręku tej książki nie miał. Utwory Conan Doyle'a drukowały: „Słowo Polskie“, „Dziennik Polski“, „Kuryer Poznański“, „Kuryer Lwowski“, „Wiek Nowy“, „Nasz Kraj“, a osobno wydały firmy: H. Altenberg, Gebethner i Wolff,

W Zukerkandel, „Biblioteka dzieł wyborowych" i i. O tych autor artykułu nic nie wspomniał.

Z poważaniem: *Jan Maniszewski.*

Pan Maniszewski ma w znacznej mierze słuszność, ale i autor „Uwag" ma dość do powiedzenia na swoją obronę.

P. Maniszewski rzeczywiście prowadził wydawnictwo Scherlocka Holmesa odmienne, niezależne od wydawcy berlińskiego. O tem autor artykułu nie wiedział, polegając na informacyach pochodzących z e sfer księgarskich. A zdaje się, że chyba kompetentniejszego źródła znaleść nie mógł. Trudno wymagać, aby dla napisania krótkiego artykułu sprowadzał sobie wszystkie wydawnictwa Holmesowe. Informował się tam, gdzie się najlepszej informacyi spodziewał. I wszystkie te informacye okazały się prawdziwe, z wyjątkiem tyczącej się p. Maniszewskiego.

Przypadkową „krzywdę" wyjaśnieniem tem wynagradzamy.

Natomiast nie podzielamy zapatrywania: ponieważ inni drukowali i wydawali Holmesa, więc i mnie było wolno iść za ich przykładem. Że kto źle robi, to nie usprawiedliwia innych źle postępujących.

Inna rzecz wreszcie podać w jakim dzienniku parę lub kilku tłumaczeń z Conan-Doyla (którego rzeczy są zresztą różnej wartości), albo wydać wybór jego lepszych utworów, — a inna rzecz zeszytowemi wydawnictwami, przeznaczonemi dla szerszych warstw, szerzyć wśród nich zamiłowanie do t. zw. sensacyjnej, ogłupiającej literatury.

O tym zeszytowym, a nie innym Holmesie pisaliśmy, ztąd też pominęliśmy „zasługi" dzienników. Korzystając jednak ze sposobności zaznaczymy, że tym dziennikom „zawdzięczać" należy wprowadzenie do nas Holmesa i przygotowanie gruntu dla zeszytowych wydawnictw tak Holmesów, jak Buffalo-Billów, Nick Casterów i t. d., których powodzenie utorowało znów drogę pornograficznym wydawnictwom zeszytowym w rodzaju wychodzących w Krakowie drukiem J. Fischera.

Od wydawnictwa.

Szanownych Członków Straży Polskiej zalegających z wkładkami i prenumeratą za II. półrocze 1909 upraszamy o spieszne nadesłanie należytości.

Składki na pomnik Słowackiego w Krakowie.

Podczas jubileuszu J. Słowackiego „Koło Pań" Straży Polskiej zebrało na pomnik 476 K 81 h.

Prof. dr. Ksawery Fierich złożył na ten cel w biurze Straży Polskiej 100 koron.

Przewielebnemu Duchowieństwu i P. T. Publiczności

Józef Angrabajtis

w Krakowie, ulica św. Tomasza L. 20.

poleca

Największy skład obrazków książkowych

własnych nakładów.

Wszystkie obrazki, jakie dotąd istnieją z polskiej fabryki J. K. *Ziółkowskich* po najprzystępniejszych cenach.

Krzyżyki misyjne, różne medaliki, rożańce, szkaplerze i inne przedmioty dewocyjne.

W celu usunięcia z Galicyi stereotypowanych książek do nabożeństwa w polskim języku od różnych niemieckich i pruskich firm, które najwięcej posługują się galicyjskimi żydami, aby raz już się pozbyć tych spekulantów, poleca się nasza firma katolicka krajowa.



Na raty najnowszej konstrukcyi, ulepszone Singera maszyny do szycia, haftu i do wszelkiego przemysłu, z fabryk światowej sławy, poleca pierwszorzędna, znana z rzetelności firma:

R. Pawłowski

w Krakowie, Rynek 18,

dostawca wielu Stowarzyszeń zarobk., Związku urzędników państw. i Centrali zakupu dla oficerów i urzędników.

Cenniki z historyą maszyn darmo i opłatnie.

UWAGA: C. i k. austro-węg. Konsulat stwierdził, że firma Singer Co wyrabia swoje „oryginalne" maszyny w Wittenberdze, pruskiej prowincyi Brandenburg, zaś kierownictwo handlowe posiada w Hamburgu.

Rok założenia 1900 **PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD KRAWIECKI NA ZAMÓWIENIA** Rok założenia 1900

JEDYNY SKŁAD UBRAŃ GOTOWYCH WYROBU WŁASNEGO

Kraków, ul. Floryańska 7, (tuż przy Rynku).

Filia: **Lwów, pl. Halicki 7,** (gdzie Cent. Kawiarnia).

ZWIĄZEK KATOLICKICH KRAWCÓW STOWARZYSZENIE ZAREJ. Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

JANECZEK & ZIEMBICKI

Kraków, Rynek 8

(naprzeciw kościoła św. Wojciecha)

polecają:

wielki wybór papierów listowych,

kart z widokami,

wyroby ze skóry, bronzu, drzewa,

przybory do maszyn do pisania,

urządzenia kancelaryjne i potrzeby biurowe.

Towarów z Niemiec w ogólności bezwarunkowo nie sprowadzamy.

Jedyny w Krakowie

fabryczny skład LALEK i ZABAWEK

DLA DZIECI

(FILIA firmy JANECZEK & ZIEMBICKI)

Kraków, Plac Maryacki 2

poleca

największy wybór zabawek wszelkiego rodzaju, piłki nożne, rakiety do tennisa i gry towarzyskie

Wyroby i zastępstwa fabryk czeskich, francuskich i angielskich. Zabawki z Jaworowa i Nałęczowa. — Wyroby warszawskie.

Z Niemiec towaru nie sprowadzamy.

Specyalny bandażysta, fachowiec

z praktyką 25-letnią

ANTONI MIRKIEWICZ

w Krakowie, ul. Mostowa L. 4.

Poleca osobom cierpiącym na przepukliny pachwinowe pasy brzuszne, oraz różne przepaski własnego wyrobu, a jako znakomitość paski bez żadnych sprężyn, swego wynalazku, wielce ulepszone: pod gwarancyą za dobroć towaru.

Zgłoszenia osobiste. * * Objaśnienia bardzo ważne, także listowne.

Adres telegraf.: HAWEŁKA, KRAKÓW. Nr. telefonu 330.

Na Święta i Karnawał

poleca

A. HAWEŁKA w Krakowie

ces. i król. dostawca Dworów

Kawior niesolony; **Ryby morskie**: Homary, Langusty, Krewetki; **Ostrygi** ostendzkie; Sigi, Łososie, Szczupaki, Karpie, Liny, Sandacze; **Majonezy** i **Galarety** z wszelkich ryb; Zwierzyna i ptactwo dzikie: **Kapłony** i **Pulardy** styryjskie; Pasztet z dziczyzny, **Pasztet rybny**: **Jabłka** i **Gruszki** tyrolskie, „Calville" francuskie: **Winogrona** świeże; **Miód** kuracyjny: **BAKALIE**; Owoce kandyzowane francuskie („Fruits assortis glacés"); Stara **Żytniówka**; smaczne **Wina węgierskie.**

Wysyłki na prowincyę uskutecznia odwrotnie.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.